NUMER ŚWIĄTECZNY (podwójny). Stron 16. Cena 1 sh.

ŻYCIE

Cena 1 sh.

„Life"
Catholic Weekly

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

ROK I Londyn, 21—31 grudnia NR. 32/33

LEGALNYM Władzom Rzeczpospolitej; Przewielebnemu Duchowieństwu; Polakom — gdziekolwiek się znajdują; Czytelnikom, Współpracownikom i Przyjaciołom naszego pisma — z okazji świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku składa serdeczne życzenia najobfitszych łask Bożych

Redakcja i Administracja

ŻYCIA



FRA GIOVANNI ANGELICO, Florencja, klasztor św. Marka, fresk w celi V (około roku 1441)

NARODZENIE PAŃSKIE

Roku pięć tysięcy stodziewięćdziesiątego dziewiątego od stworzenia świata, kiedy to na początku Bóg stworzył niebo i ziemię, roku panowania Oktawiana Augusta czterdziestego drugiego, gdy cała ziemia spoczywała w spokoju, w szóstej epoce świata, Jezus Chrystus, Bóg wieczny syn Ojca wiecznego, chcąc najmiłościwszym przyjściem swoim uświęcić świat, z Ducha Świętego poczęty i po upływie dziewięciu miesięcy od poczęcia w *Betlejem Judzkim rodzi się z Maryi Dziewicy Człowiekiem: NARODZENIE PANA NASZEGO JEZUSA CHRYSTUSA WEDŁUG CIAŁA.*

* * *

Wyjątek z *Martyrologium.* Śpiewa się podczas Primy w wigilię Bożego Narodzenia. Kantor doszedłszy do słów: „W Betleem Judzkim..." podnosi ton, poczym obniża go, by przeciągle zaśpiewać: „Narodzenie Pana Naszego Jezusa Chrystusa według ciała." W tym momencie wszyscy klękają.

I. M. BOCHEŃSKI O. P.

Moralność żłóbka

NA co Kościół ustanawia i obchodzi święta? Oczywiście na to, abyśmy przy każdym święcie stawiali sobie przed oczyma prawdy Wiary, których dane święto dotyczy. Trzeba więc i w dzień Bożego Narodzenia zrobić wysiłek, aby odrzucić na chwilę chociażby przytłaczającą nas codzienną rutynę i spoza niej prawdom Bożego Narodzenia spojrzeć jasno w oczy. Wybieram spośród wielu i wielkich jedną tylko i omówić ją chcę pod ogólniejszym, ale bodaj najbardziej trafnym tytułem — Moralności Żłóbka.

Najpierw fakty. Jak wyglądało Narodzenie Pańskie, nie to z pięknych obrazów malarzy pobożnych, ale to prawdziwe, historyczne? Dwoje biednych ludzi zmuszonych jest do dalekiej wędrówki, mimo, że Najświętsza Panna oczekuje dziecka lada chwila. W miasteczku, do którego przyszli po długim i ciężkim marszu, nie ma kwatery: wszędzie mówią im, aby sobie poszli gdzie indziej. Wreszcie św. Józef decyduje się na kąt w stajni, nie owej złoconej stajence betlejemskiej, ale w zwykłej stajni, ze zwierzętami prawdopodobnie. W tej stajni, bez elementarnych wygód, narodził się Syn Boży, Matka, z braku kołyski, położyła Go po prostu w żłobie; znowu nie w jakimś cudownym, złoconym sprzęcie z naszych obrazków, ale w prostym, pospolitym żłobie.

Taka jest historia. Mówi ona jedno: że Syn Boży urodził się, jako syn biednej, wiejskiej kobiety i to w warunkach gorszych jeszcze niż zwykle u prostego ludu — w zupełnej nędzy i opuszczeniu. Pobożność chrześcijańska kazała promieniować świętej duszy Matki Boskiej na Jej szaty i dom, ale prawda zewnętrzna jest inna: ktoby z nas mógł na Nią spojrzeć, ten zobaczyłby biedną kobietę, sponiewieraną długą podróżą i niewygodą, która z biedy rodzić musi w stajni. Taka jest prawda.

Teraz pytanie: dlaczego tak się stało? Oczywiście nie dlatego, że Bóg nie mógł spraw urządzić inaczej. Jeśli skazał Matkę Swojego Syna na taką biedę i poniewierkę, musiał mieć w tym jakiś cel. Jaki cel? Dwie są możliwe odpowiedzi. Można najpierw sądzić, że Boże Narodzenie jest dla Najświętszej Panny początkiem Krzyża. Wydaje się, że Bóg, żądając od Niej zgody na Wcielenie, musiał dać Jej poznać, co Ją w związku z nim czeka; a uzyskawszy Jej „niech się stanie," mógł chcieć Ją prowadzić od początku drogą cierpienia i krzyża. Wielu naszych świętych i myślicieli sądzi, że tak było istotnie.

Mnie osobiście ta interpretacja nie odpowiada. Wydaje mi się, że Narodzenie miało dla Matki Boskiej tak olbrzymi sens i było przeżyciem tak wstrząsającym, iż musiała po prostu nie widzieć tego co się naokoło Niej działo. Fakt ubóstwa Jej Syna? Ależ skoro wiedziała Kim On był, różnica między urodzeniem w najbardziej luksusowym pałacu, a urodzeniem w stajni musiała się Jej wydawać nieważna: między Bogiem a największym ze stworzeń leży przecież nieskończenie większa przepaść, niż największe różnice istniejące na ziemi. Zresztą nie jestem pewien i nikt niejest pewien, czy pierwsze lata Najświętszej Panny były rzeczywiście latami cierpień. Znowu, jeśli o mój osobisty pogląd chodzi, zdaje mi się, że raczej nie. Hipoteza Krzyża, jako głównego celu okoliczności Narodzenia wydaje mi się chybiona.

Pozostaje więc druga możliwość: rodząc się w tych warunkach, Bóg chciał w możliwie najbardziej jaskrawej formie powiedzieć nam, co myśli o wielkich i wielkościach tego świata i po czyjej jest stronie — a równocześnie pokazać, jak dalece największe rzeczy mogą się kryć poza osłoną biedoty i, po ludzku mówiąc, małości. Bo, w rzeczy samej, większej rzeczy — prócz sceny na Kalwarii — nie widział nigdy świat. Syn Boży, rodząc się w stajence betleemskiej, dał nam wielką naukę moralną.

Ten żłóbek z Dzieckiem i biedną Kobietą w ciemnej stajni małego miasteczka, to jest ogromna idea, to jest dynamit, rewolucja i wielkie przykazanie, które odtąd stać będzie przed sumieniem świata z ostrym wyzwaniem, nie do „pobożnych wzdychań," ale do czynu. To jest nowa moralność: nauka o wielkości małych i poszanowaniu dla każdego człowieka, bez względu na to, czy jest królem, czy biedakiem. To jest demokracja — nie ta, której mają pełne usta głupcy, nie znający jej alfabetu — prawdziwa nauka o powszechnym braterstwie i powszechnej równości. A racja jest ta, że choć równi jesteśmy wobec Boga, to przecież rzeczy naprawdę wielkie przed naszym wzrokiem są zakryte i ludzie pozornie wielcy bywają naprawdę bardzo mali, jak ten Herod Galilejski, podczas gdy „najmniejsi" bywają tacy, że nikt z nas nie godzien jest im rozwiązać rzemyka u trzewików — jak Matka Syna Bożego.

Nie można być chrześcijaninem na serio, jeśli się tej prawdy nie wyznaje, jeśli się pogardza „małymi," dzieli świat na kasty, jeśli się bije czołem przed „nad-ludźmi," „genialnymi towarzyszami" czy „fuehrerami," jeśli się uwielbia bogactwo, „szlachetne" urodzenie, stosunki i władzę. My, chrześcijanie, słuchamy i szanujemy przełożonych, ale tylko dlatego, że władza od Boga pochodzi. Szanujemy cnotę i dzielność, bo to także Boskie są dary. Ale z tym wszystkim co było przed żłóbkiem i dotąd pęta się ciągle u pogan po świecie, nie mamy i nie możemy mieć nic wspólnego.

Boże Narodzenie powinno być dniem rozważania o tej sprawie. Czy jesteśmy naprawdę wyznawcami moralności Żłóbka? Jaki jest nasz stosunek do braci, zwłaszcza do mniejszych od nas w tym czy w innym względzie? Co zrobiliśmy i co robimy, aby nauka Chrystusa Pana żyła naprawdę wśród nas? Co moglibyśmy zrobić, aby było lepiej, więcej braterstwa, więcej szacunku wzajemnego. a mniej niegodnych naszej wiary pozostałości pogaństwa?

Budzi się do życia nowy świat. To my będziemy ten świat tworzyli po złamaniu jednej i drugiej potęgi pogańskiej. Pamiętajmy na słowa Chrystusa Pana: „kto nie jest ze mną, rozważmy sobie dobrze, że być z Chrystusem Panem, znaczy wyznawać jest przeciw mnie". W noc wigilijną wać nie lepkie i fałszywe konwenanse, ale wielką, bojową, odnawiającą oblicze ziemi Moralność Żłóbka.

I. M. BOCHEŃSKI O. P.

Rzym — grudzień 1944

C. J. KRASIŃSKI O.S.B.

Chrystus się nam narodził

„DZIŚ narodził się Chrystus; Dziś objawił się Zbawiciel; dziś rozbrzmiewa ziemia hymnami Aniołów i weselem Archaniołów; dziś radują się sprawiedliwi i wołają: Chwała na wyso[illegible] Bogu, Alleluja"! — oznajmuje [illegible]turgia nieszporna Bożego N[illegible] W pierwszych wiekach [illegible]ierwszą Ms[illegible]cie N.M.P. [illegible] tam Żłó[illegible] greckim kośc[illegible]azji, a trzecią — w p[illegible]one [illegible]elgrzymami z najodleglejszych prowi[illegible] Imperium Bazylice św. Piotra, podkreślając tym wobec świata uniwersalny charakter jedynego w dziejach zdarzenia:

„I stało się — gdy przyszli do Betleem Józef i Maryja — wypełniły się dni, aby porodziła. I porodziła Syna swego pierworodnego, a uwinęła go w pieluszki i położyła go w żłobie, bo nie było im miejsca w gospodzie."

Dzięki pasterce i przepięknym kolędom, dzięki choince i radującej się na Wilii dziatwie, stało się Boże Narodzenie najpopularniejszym świętem kościelnym polskiego ludu. Ma ta popularność swe wielkie zalety, bo zespala w jedną organiczną całość nasze religijne, społeczne i narodowe obowiązki, naszą wierność Bogu i ojczystym rodzinnym zwyczajom. Ma ona jednak i swe niebezpieczeństwa, bo staje się dla myślących powierzchownie okazją do traktowania tej fundamentalnej Tajemnicy Wiary czysto „tradycyjnie" i uczuciowo, jako wzruszającego swą poezją wspomnienia z lat dziecinnych; kojącego błogo tych, co mają rzadkie dziś szczęście spędzenia go na łonie rodziny, ale nie zdatnego do wypełnienia radosnym, gdyż za zrozumieniu objawionej Prawdy opartym przeżyciem religijnym serc, krwawiących się na ziemi obcej o los najbliższych. Nie radość, lecz niepokój opanowuje umysły. I staje się nam jak i onym pasterzom, iż „zlękli się bojaźnią wielką." Lecz Słowo nie ludzkie, a Boże zapewnia nas, przez usta Anioła: „Nie bójcie się; bo oto opowiadam wam wesele wielkie... bo się wam dziś narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan."

Dla większości nie rozumiejących nauki Kościoła jest dzisiejsze Święto, w najlepszym wypadku, tylko „pamiątką" zdarzenia sprzed blisko dwu tysięcy lat; a że dla nas wszystkich same pamiątki rzeczy odległych, o ile im nie towarzyszy doświadczenie i rzeczywistość, przestają z czasem wywierać pierwotne wrażenie, owo ewangeliczne „wesele wielkie" maleje u owych katolików zbyt często do rozmiarów... radości z otrzymanych... rumianych jabłek i złoconych orzechów!

Niemniej jest Prawdą objawioną ta „wesoła nowina," iż obchodzona w Najśw. Ofierze Tajemnica nie jest tylko wspomnieniem, lecz zawiera wszelkie ludzkie doświadczenie i zrozumienie przechodzący Boży Dar dla każdego z nas. Ugruntowany jest on na tajemniczej rzeczywistości całego Dzieła Odkupienia, odnawiającego się sakramentalnie, t. j. bezkrwawo n[illegible].

Do tego D[illegible]kupienia należy Wcielenie [illegible]arodzenie Syna Bożego, tak jak jego Śmierć i Zmartwychwstanie. Niczym światło słońca rozszczepione w tęczy, obchodzi Kościół kolejno owe Tajemnice, zawsze „aktualne," bo brzemienne ukrytym, lecz realnym życiem Boga-Człowieka. Mimo, iż wszyscy dobrze wiemy, że Najśw. Panienka nie rodzi „dziś" Bożego Syna, który się obecnie znajduje na prawicy Ojca w pełni Chwały Niebieskiej, to jednak zgodnie z sakramentalną prawdą nie przestaje wołać Liturgia do uświadomionych przez uczestnictwo w Boskiej Uczcie wiernych: „Hodie — dziś narodził się, objawił się Zbawiciel," bo nie tylko 1947 lat temu, lecz dziś zstępuje On do nas, na ołtarze i do serc naszych; nie jak ongiś, ale niemniej rzeczywiście, dając „moc wszystkim, którzy go przyjmują. aby się stali synami Bożymi, tym, którzy wierzą w Imię Jego."

„Kto świętuje Jego przyjście nie zbliżając się do Eucharystycznego Stołu, czyni więc podobnie, jak [illegible] szony [illegible] cy się... wi[illegible] wujący się do[illegible] wanych dlań darów [illegible] realności Boskich T[illegible] czyną bolesnego [illegible] choć pełen rados[illegible] tradycyj — pozo[illegible] ły... wesela i pok[illegible]

Tej to przezwyc[illegible] cy Synów Boży[illegible] progu Nowego [illegible] życzą jej w Im[illegible] mym, swym przyj[illegible] przykładem Zbawicie[illegible] śladowcom, zbratani[illegible] czącą nas wszystkic[illegible] Mędrców, jedną [illegible] wistością: „Zapraw[illegible] [illegible]rodził się nam dziś Zbawiciel, który jest CHRYSTUS PAN. ALLELUJA!

C. J. KRASIŃSKI O.S.B.

W. T. HÜNERMANN

Pasterka św. Franciszka

KSIĄDZ Jan Vallita w Greccio ucieszył się bardzo, gdy pewnego dnia w Adwencie roku 1223 otrzymał list od słynnego Franciszka z Assyżu.

"Janie" — pisał święty przyjaciel Boży — jeżeli się godzi byśmy razem spędzili noc Bożego Narodzenia, przygotuj tedy starannie wszystko, co Ci polecę. Pragnę bowiem żywo i naocznie przedstawić pamiątkę narodzin Dzieciątka w Betlejem. Dlatego musisz w lesie przygotować napełniony sianem żłobek, muszą też być wół i osioł, tak jak to było w Betlejem."

Ksiądz Jan zabrał się do przygotowań, aby wszystko było tak, jak mu polecił przyjaciel.

*

Przyszła Święta Noc. Tysiące gwiazd zapłonęło nad lasem w Greccio. Patrzyły na rozgrywającą się pod ośnieżonymi jodłami scenę. Z miasta i z pobliskich wiosek cisnęli ludzie z łuczywami i latarniami, pełni szczęsnego oczekiwania. Szli synowie św. Franciszka w szarych habitach, szli pasterze i chłopi, szły kobiety i urocze dzieci. Przyszli i zobaczyli cud, który ich lasek zamienił w Betlejem.

Stał tam piękny żłobek, a przy nim wół i osioł, zupełnie jak w świętej stajence, do której kiedyś anioł wzywał pasterzy. Powiesili więc latarnie na gałązkach drzew i ustawili się z pochodniami dokoła żłóbka. Wszystko wokół zalało przedziwne światło.

"Dominus dixit!".. zaczął chór franciszkańskich braci: "Powiedział Pan..." — Śpiewali Introit z pierwszej mszy, gdy ksiądz Jan przy skromnym leśnym ołtarzu zaczynał świętą ofiarę.

Ewangelię śpiewał swym silnym, pięknym głosem Franciszek. A potem zwrócił się do stojących wokół i mówił o łasce, co spłynęła ze świętej Chrystusowej nocy:

—"Patrzcie moi bracia i siostry! Oto przybyliście do Betlejem i stoicie przed błogosławionym żłóbkiem, z którego początek wzięło wszelkie zbawienie i wszelki pokój. Chodźcie bez obawy, gdyż dzisiaj objawiła się nam najwyższa Miłość."

Oczy pobożnych rozjaśniła wielka szczęśliwość. Nagle na ręku matki zapłakało dziecię.

—"Ależ siostro — Franciszek przerwał kazanie—dziecięciu, które trzymasz, pewnie jest zimno. Połóż je do żłóbka i przykryj starannie sianem i słomą. Zbliż się bez obawy, gdyż i twoja dziecina jest dzieckiem Bożym, a Jego anioł stróż stoi koło niej."

Matka nieśmiało ułożyła dziecię w żłóbku i starannie okryła sianem i słomą.

—"Widzicie bracia i siostry, — podjął swe kazanie Franciszek — tak to właśnie Maryja ułożyła kiedyś Swego Pierworodnego. Oto cud Betlejem odnawia się przed waszymi oczyma."

Zwabione światłem wyszły z gęstwiny leśnej wszelkie zwierzęta: jelenie, sarny, lisy i zające. Stanęły wszystkie jak zaczarowane patrząc na to, co się w lesie działo.

—"Chodźcie tu bez obawy, zwierzęta leśne, wy moi bracia i siostry — zapraszał radośnie Święty. — Nie stanie się wam żadna krzywda tej Świętej Nocy, gdyż i dla was dziś się narodził Zbawiciel..

Zdawało się, że płochliwe zwierzęta rozumieją słowa brata Franciszka. Zbliżały się bowiem bez lęku i także ich oczy napełniały się światłem nocy Bożego Narodzenia.

—"Wszędzie winno znowu nastać Betlejem:

DOKOŃCZENIE—STR. 13

POLSKIE BETLEJEM

Chrystus się nam narodził!

Najstarsza polska kolęda:
początek wieku XV

Chrystus sie nam narodził,
Jenż dawno powieszczon był,
W Betlejem, żydowskiem mieście,
Z Panny Maryjej czyście.
Hallelujah!

Gdy pasterze w nocy paśli,
Stanął przy nich anioł spaśny*)
Którzy, widząc jasność boską
Bali sie bojaźnią ciężką.
Hallelujah!

Rzekł im anioł: „Nie bójcie sie,
Ale owszem weselcie sie:
Narodził sie zbawiciel wam,
Który rzeczon Krystus Pan."
Hallelujah!

Teraz wszyscy śpiewajmy,
A Panu Krystusowi dziękujmy
Bo przysłusza śpiewać z anioły w radości:
Chwała tobie na wysokości!
Hallelujah!

...NARCZYK

...ęda ...ołnierska

...da Dziecino,
...n w darze koc.
...eszcze z Cassino —
... nim Syna
...est noc.

...ce, żeś zległa
...ku wśród szarych ścian.
...rze się zaraz zbiegną,
...ieca nakładą węgla
... z ...ef ujmie w stan.

Ze skrzynek zrobią Mu żłóbek
I sianem wyścielą spód,
Bo jak się tylko świat dowie,
Zaraz przybędą Królowie
— Skłonią się Mu.

Mam tutaj jeszcze ze sobą
Kilka kuponów — więc przyjm.
Pieluszki kupisz niedrogo —
Lulaj nam, lulaj Niebogo
— Spokojnie śpij.

JAN OLECHOWSKI

Wigilia

To było dawno, przed laty, na ziemi szczęściem pachnącej...
Drżały matczyne ręce i bladły wzruszone twarze
A pieśń się niosła wysoko. Płonęły serca gorące.
Gwiazdy jaśniały cicho, jak świece przed bożym ołtarzem.

Snieg nam zasypał młodość. Wiatry zmroziły twarze.
I przeszły lata wojenne, czoła schyliły się w męce...
Lecz wiesz, że tamten płomień w każdym się sercu żarzy
I wszędzie drżą tej nocy, tak samo matczyne ręce.

Przyszliśmy tutaj z daleka, żołnierze ojczystej sprawy.
Nie ma w nas żadnej trwogi, ani żałosnej skargi,
Choć wielu padło na szlaku, choć krok był ciężki, krwawy,
Na drodze wiodącej prosto do Betlejemskiej Prawdy.

Więc dziś wznosimy kolędę, pokornie chylą się skronie.
I wiarę naszą składamy jak myrrę, kadzidło i złoto.
Zapal dziś gwiazdę, Boże, niechaj nad nami płonie
I niech nam świeci nadzieją, szczęśliwym kiedyś powrotem!

Cokolwiek jeszcze przed nami — piekielne truchleją moce
I płynie pieśń Narodzenia. Ta pieśń zwyciężyć musi
Świat wstaje z mroków biblijnych. Pierzchną żałobne noce
Na wszystko jesteśmy gotowi. Prowadź nas młody Chrystusie!



Kolęda góralska

Ej Maluśki . . .

Ej Maluśki, Maluśki, Malusieńki, kieby rękawicka
Albo li tez jakoby — jakoby kawałecek smycka.

Lepiej przeciezby Tobie — by Tobie siedzieć było w niebie,
Wsak Twój Tatuś kochany — kochany nie wyganioł Ciebie.

Tam ci zawse słuzyły — słuzyły prześlicne janioły,
Tutaj lezys som jeden — som jeden kiej palusek goły.

Tam se zawse spijołeś — spijołeś słodkie małmazyje,
Tu się Twoja gębusia — gębusia gorzkich łez napije.

Będzies się tu mioł spysna — mioł spysna, jako miołeś w niebie,
Mom jo mlicka słodkiego — słodkiego kielisek lo Ciebie.

Karol Hubert ROSTWOROWSKI

Powrót

Do Twego żłóbka, Boże Dziecię,
Wiodła mię gwiazda: matka.
I nie wiedziałem nic o świecie
W granicach mego światka.

I nie wiedziałem nic o świecie,
Któremu są już obce
Kolędy grane na klarnecie
I Bóstwo w cichej szopce.

I byłeś dla mnie tak prawdziwy
Jak braciszkowie moi,
Tylko żeś robić umiał dziwy,
Których się każdy boi.

Bo nawet ojciec mój kolana zginał,
Zginał i chylił czoło
I w Tobie, dziecku, widział Pana,
Choć Panem był wokoło.

Lecz, jak król Kacper na wielbłądzie,
Przybyło mędrców mrowie,
„Całych w krostach, całych w trądzie"
Uczyć mię słów o Słowie.

Uczyć mię takich różnych rzeczy,
Wśród których złuda siedzi,
Wszechwiedzy uczyć mię człowieczej,
Pytań bez odpowiedzi.

Chodziłem z nimi długie lata
Coraz to dalej, dalej...
Aż mi zniknęła Twoja chata,
Gdzieśmy kolędowali.

Aż mi zniknęło wszystko z Ciebie,
Przestałeś być mi bratem,
A stałeś mi się czemś nie w niebie,
Nie w świecie, nie za światem.

Czemś, czego oko nie zobaczy,
Co naszych skarg nie słyszy,
Czemś, co poczyna się w rozpaczy
Wśród strasznej, nocnej ciszy.

Czemś, co bez końca i bez granic
Nie może stać się Ciałem,
I tak, za puste słowa, za nic
Wiarę im odprzedałem.

Dziś oto wracam, Jezu Chryste,
W matczyne dawne strony,
By kolędować: masz, zaiste
Granice, Nieskończony!

Leopold STAFF

Kolęda

Niedobrze się, niedobrze dzieje w mgłach, dżdżach zimy!
Myśl mamy złą, markotną, niemrawą, stroskaną,
Lecz dziś, gdy Gwiazdka błysła, w głos nucimy:
Oj, siano! Oj, siano!

Niedobrze jest, niedobrze! Brud, błoto, ulewa...
Patrzymy co się dzieje i w lęku truchlejem.
Lecz uparta nadzieja dziś w duszy nam śpiewa:
Betlejem! Betlejem!

Noc dzisiaj się przesila, noc najdłuższa w roku.
Może też się przesili męka, co nas nęka.
Zawodzim co sił w płucach, z dzikim ogniem w oku:
Stajenka! Stajenka!

Wybacz Dzieciątko Drogie, najmilejsze z dziatek!
Grzeszniśmy! Wszyscy winni! Aleśmy nie zwierze.
Dusze Tobie oddajem, jak mienia ostatek —
Pasterze! Pasterze!

Mędrcy-ć przynieśli mirę, złoto i kadzidło,
A my od wilków gorsi? Nie damyż nic Tobie?
Czyliśmy to podlejsi i gorsi niż bydło:
Wół z osłem przy żłobie?

Pokaż-no Panie Jezu, żeś Pan nad Panami!
Ześ darmo się nie rodził, żeś tu nie przybłęda!
Czy chcemy, czy nie chcemy, zrób porządek z nami —
Kolęda! Kolęda!

Kazimierz WIERZYŃSKI

Kolęda

Zbieram sie długo, od samego lata,
Zobaczyć Cibie w świętym Betlejemie,
Tylko, że od nas trzeba przejść pół świata
By w Twą zamorską zawędrować ziemię.

Pokaż mi dzisiaj za naszym ogrodem,
Najbliższą drogę do Twojej stajenki,
Za to opłatek przyniosę Ci z miodem,
Stanę na palcach i podam do ręki.

Snop wezmę z sobą przyda Ci się słoma:
Niech Matka Boska w jakąś noc zadrymną
Złób nią wyścieli świętymi rękoma,
By Ci nie było w Twej kołysce zimno.

A gdy Ci twardo będzie bez poduszek
I smutno, zapal na gwiazdach światełka
Ja Ci dam trochę mych suszonych gruszek,
I zeszłoroczne opowiem jasełka.

Jak szli trzej króle z koroną na głowie,
Jakeśmy wtedy zabili Heroda,
I jak na skrzypkach grali pastuszkowie.
Tak ślicznie było! Tyś nie widział... Szkoda!

A potem razem z Betlejem pójdziemy
Do nas, pomodlić się gdzieś na pasterce,
I tu usłyszysz, malusieńki, niemy,
Jak kolęduje Tobie moje serce.



Ignacy BALIŃSKI

Kilka wspomnień z dawnych świąt

ŚWIĘTA! Święta Bożego Narodzenia! Ten cały okres od wilii do Trzech Króli, co roku od dzieciństwa z radością wyczekiwany! Myślę, że pamięć tych dni bliska jest wszystkim, zwłaszcza, jeśli łączyły się z nimi bardzo znamienne wypadki z życia rodzinnego czy narodowego. Pamięć ta prześwieca z głębi przeszłości coraz jaśniej, im głębiej sięga.

Przyznaję, że z biegiem lat i z tokiem przejść życiowych doszedłem do przekonania, że może nie miał racji Dante, pisząc: „nessun maggior dolore, ché ricordarsi del „tempo felice nella miseria" (nie ma większej boleści, niż wspomnienie szczęścia w chwilach smutku). Przeciwnie — pamięć o minionym i utraconym szczęściu raczej łagodzi ból smutnej teraźniejszości. Godzę się z okrzykiem Verlaine'a „Je me souviens, je me souviens! et c'est le meilleur de mes biens": — Pamiętam, pamiętam i to najlepsze z dóbr moich!

Może więc nie znudzę Czytelników ŻYCIA, jeśli sięgnę do kosza moich wspomnień z okresu owych dawno minionych świąt Bożego Narodzenia. Spłowiały one i poschły, jak zwiędłe kwiecie, ale dla mnie wciąż zachowują swe barwy. Czym starsze, tym więcej nabierają krasy — choć inny poeta francuski, napisał: „Non, non! Tout fuit dans le vieul age, tout fuit, même l'illusion": — Nie! Nie! wszystko odbiega w starczym wieku! Wszystko odbiega — nawet złudzenia!

* * *

PIERWSZYCH szkolnych świąt Bożego Narodzenia, zimą 1873-1874 roku, właściwieśmy — ja i dwaj moi cioteczni bracia — nie mieli wcale. W Królestwie obchodzono je według kalendarza nowego stylu (gregoriańskiego) i trzeba było stawić się do szkół dnia 7-go stycznia, nazajutrz po Trzech Królach. Tymczasem według kalendarza juliańskiego, czyli starego stylu — pierwszy dzień świąt wypadał właśnie w Trzy Króle.

Na święta owej zimy zjechała się liczna rodzina do babki Jundziłłowej w Reginowie nad Szczarą, jakby w przeczuciu, że będą to jej ostatnie święta. My, uczniowie z Warszawy, przybyliśmy w samym środku adwentu, dumni z cenzurek, oglądanych z pietyzmem przez młodsze rodzeństwo. (Z „polskiego", od kochanego profesora Skrzypińskiego, miałem piątkę rzymską!). Rozkoszowaliśmy się pierwszym powrotem na wieś i wszystkimi jej przyjemnościami, polując nawet trochę i oczekując z niepokojem, czy na sam. dzień wilii spadnie „ponowa", t.j. świeży, bielutki śnieg, zdradzający ślad zajęczy.

Na wilię wszystko już z naszym udziałem zostało przygotowane: ubrane w festony papierowe i bakalie drzewko i siano na stół pod obrus i opłatki na bocznym stoliku. Rano najlepszy z gajowych, strzelec Pauluk, ze swej starej pistonówki ustrzelił na ponowie zgonionego przez Wypłosza i Lutnię, zająca.

Ale dla nas, uczni z Warszawy, ukazanie się gwiazdki betlejemskiej na niebie było też sygnałem końca wakacji. Ani Babce, ani nikomu ze starszych nawet na myśl nie przyszło, abyśmy, zdrowe chłopaki, nie byli na mszy św. w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia.

Z Reginowa, do miasteczka Kosowa z kościołem parafialnym było pięć polskich mil (około 35 kilometrów) doskonałej drogi po szosie, do powiatowego miasta Słonima trochę dalej, ale tam właśnie zazwyczaj jeżdżono. Babka miała w Słonimie starego przyjaciela, ostatniego gwardiana Bernardynów, O. Błażewicza. Tam też miała Babka zaufane „faktorki," a wśród nich Judelową, właścicielkę zajazdu na rogu Rynku, ze wspaniałymi sukiennicami (kramami) i resztkami pałacu Ogińskich. Judelowa częstowała nas zwykle „makagigami," rodzajem orzechowników na miodzie, a w czasie Paschy, rytualną „macą," wcale nie gorszą od szwedzkiego suchego chleba.

Tym razem jednak Babka dla zyskania dla nas i z nami godziny czasu postanowiła pojechać do Kosowa. Kościół kosowski, odrestaurowany przed powstaniem przez proboszcza, Ks. Narbutta synowca, historyka Litwy i stryjecznego brata słynnego dowódcy oddziału powstańczego z okolic Lidy, przy poparciu głównie Wandalina Pusłowskiego, właściciela Mereczowszczyzny, spalił się częściowo w r. 1871 i właśnie został świeżo odbudowany.



O godz. 6-tej wieczorem zasiedliśmy do stołu wigilijnego, a o 8-mej stanął przed gankiem szereg sań. My, ofiary podwójnego obowiązku, siedliśmy z Babunią do krytej t. zw. budy, zaprzężonej w cztery konie.

Ówczesny proboszcz, ks. Dauksza. przyjął Babkę z wielką weneracją Po pasterce i odśpiewaniu ukochanej pieśni „Anioł Pasterzom mówił," zaprosił nas na plebanię i uczęstował pyszną, śweżutką kiełbasą z kapustą kwaszoną na żórawinach. Nam, chłopcom pokazał kopię wypisu metryki Tadeusza Kościuszki. Zdaje się, że w izbie obok, po cichu podkarmiał kilkunastu opornych unitów, co z Łapiszyna, spod Pińska chyłkiem przy, wędrowali na swoją polską mszę.

O 4-tej rano, uważając się po trochu za męczenników, po trochu za bohaterów, wyruszyliśmy do Warszawy w pustym wagonie 3-ciej klasy, co pozwoliło nam wyciągnąć się i wyspać. — W następnym zaś roku udało nam się dostać kilkodniowe przedłużenie urlopu, a od 1876 r. wakacje zimowe świąteczne objęły „oba style," czyli prawie cztery tygodnie, we wszystkich szkołach rządowych i prywatnych. Drugi raz jeszcze wypadło mi spędzić pierwszy dzień świąt w wagonie kolejowym w drodze z Warszawy do Sienieżyc, lecz już w związku z wielkim i ciężkim smutkiem z powodu śmierci mego ojca w sam dzień wigilijny, 24-go grudnia 1892 r. Mrozy owej zimy panowały straszliwe i trwały przeszło dwa miesiące. Musieliśmy odłożyć przewiezienie zwłok do grobów w Reginowie.

*

W Warszawie najbardziej pamiętny dzień wilii był to ów 24 grudnia 1898 roku — dzień odsłonięcia pomnika Mickiewicza w setną rocznicę jego urodzin. (Opisałem szczegółowo tę uroczystość we wspomnieniu p.t. „O kulcie trzech wieszczów," w jednodniówce „Pamiętnik Wędrowca" — Orbis 1946 r.).

Przytoczę jednak, bo mało kto dziś to pamięta, wstrząsające zdarzenie, jakie zaszło w pierwszy dzień świąt 1880 r. W przepełnionym kościele św. Krzyża, przy końcu sumy, u samego wyjścia rozległy się okrzyki:

— Pożar! Pożar!

Chociaż nie było ani ognia, ani dymu, mnóstwo ludzi rzuciło się do ucieczki, tłocząc się głównie na schodach tak gwałtownie, że wiele osób nie tylko pokaleczono, lecz zadeptano na śmierć, między innymi hr. Aleksandrowiczową z Konstantynowa nad Bugiem. Córka jej cudownie ocalała. Wezwana na gaszenie rzekomego pożaru straż ogniowa zajęła się wydobywaniem stłoczonych. Po mieście rozeszła się pogłoska, że to banda złodziejska, złożona przeważnie z żydów, urządziła sztuczną panikę dla ułatwienia sobie kradzieży. Pod wieczór grupy oburzonych rzuciły się na rabunek niektórych domów żydowskich, obciążonych złą opinią.

* * *

Najwspanialszy jednak w ostatniej dobie dziejów Warszawy i całej Polski moment wypadł w świątecznym zimowym okresie 1918—19 roku. Nastał wywalczany i wyczekiwany przez 125 lat dzień wyzwolenia. A stało się to w drodze mało nawet w 1914 r. na początku wojny przewidywanej. — Będąc w Krakowie wraz z Henrykiem Sienkiewiczem, słuchaliśmy z uśmiechem wynurzeń politycznych siostry jego pierwszej żony, profesorowej Edmundowej Janczewskiej:

— Ja, mówiła z cicha — najbardziej bym pragnęła, żeby Niemcy pobili Moskali, a Francja i Anglia Niemców. Co dzień chodzę o to modlić się do mego kościoła Św. Anny.

Tak się też z łaski Boga stało, co przypomniałem pani Janczewskiej, gdyśmy, jako obywatele, t.zw. Litwy Środkowej, jechali w pierwszych dniach stycznia 1922 r. na wybory do Wilna.

Nastąpiła kapitulacja Niemiec. Ostatni okupanci zostali pobici i począłi uciekać ze swym generał-gubernatorem, ostrzeliwując się gdzieniegdzie.

Kilka kul ugodziło w zawieszony nad Prezydium Rady Miejskiej, pod Orłem i Pogonią, wielki portret Kościuszki. Ludność cała, młodzież, studenci, uczniowie chwycili za broń. Ja już wówczas, od marca 1918 r., byłem z wyboru Rady jej prezesem. Kiedy w poniedziałek, dn. 11 listopada, przybył wypuszczony z Magdeburga komendant Piłsudski, odwiedziłem go natychmiast z ówczesnym prezydentem miasta Drzewieckim, w jakimś mieszkaniu na ul. Mokotowskiej i zarządziłem na dzień następny nadzwyczajne posiedzenie rady miejskiej.

Ów wtorek, 12 listopada 1918 r., kiedy miałem "szczęście ogłosić na Ratuszu Warszawskim, że Polska odzyskała niepodległość, że jej stolica jest wolna od wszelkich okupantów — ruskich, pruskich czy rakuskich — to był najradośniejszy dzień mego życia. Wspomnienia tego dnia, jak akord czarodziejskiej harfy Derwida dźwięczy w mej pamięci — podtrzymuje w nieszczęściach, ożywia nadzieję...

W dniu 1 stycznia, o 10-tej wieczorem, przyjechał Paderewski z żoną. Powitałem go w imieniu miasta na dworcu i odwiozłem do hotelu Bristol. Włościanie wilanowscy w odświętnych sukmanach zaraz na rogu Marszałkowskiej wyprzęgli konie i pociągnęli otwarty wóz. Mimo późnej pory olbrzymie tłumy zaległy drogę. We wszystkich oknach paliły się świece, aż dziw, skąd się ich tyle znalazło! Balkon 1-go piętra w pałacu Kossakowskich, na Nowym Świecie, zawalił się pod ciężarem widzów i kilku się dotkliwie potłukło.

Wkrótce potem przybyło czterech przedstawicieli głównych państw zwycięskich. Nazwisk trzech ostatnich nie pamiętam. Jednym z nich był senator Józef Neulens, Francuz, niegdyś ambasador w Petersburgu, z którym nawiązałem bliższe stosunki, odwiedzałem za bytności we Francji i korespondowałem z Londynu.

W połowie stycznia miasto urządziło na ratuszu zebranie towarzysko-polityczne z udziałem Piłsudskiego, już Naczelnika Państwa i Paderewskiego— premiera. Dmowski był wówczas w Paryżu, chory. Przemówiłem do obu po polsku, a do delegatów zagranicznych po francusku. Potem Noulens wypowiedział wspaniałą i serdeczną alokucję do wskrzeszonej Polski, którą tłumaczyłem, okres po okresie.

— Tu zaznaczę, że jeszcze w połowie listopada 1918 r. rada miejska nadała obywatelstwo honorowe stolicy — Piłsudskiemu, a na pierwszym posiedzeniu styczniowym — Paderewskiemu. Po zawarciu pokoju wersalskiego, już za następnej rady, zamierzałem wnieść o nadanie takiegoż obywatelstwa Dmowskiemu, ale napotkawszy w prezydium opór ze strony kół lewicowych, a nawet pewną niechęć chadeków, nie mogłem narażać takiego wniosku na kontrowersje publiczne i ewentualny upadek. Podobnież taki opór spotykała w komisji nazw ulicznych sprawa nazwania któregoś placu, czy też ulicy mianem Romana Dmowskiego. Stąd ten paradoks, że [illegible] z najwybitni[illegible] mężów stanu [illegible] i to właśnie jedy[illegible] nie zyskał w mieście [illegible] ani zaułka swego imien[illegible]

Jak to sprawdziłem w ka[illegible] dowym na rok 1936—7 [illegible] posiadała nawet uli[illegible] chociaż nie słyszałe[illegible] nie, czy innym więks[illegible] tyjskim, które tak w[illegible] wody sportowe — is[illegible] niejszych bokserów, cz[illegible]

Przez cały ten okr[illegible] brałem m. in. udział w k[illegible] cowującej nowy statut ust[illegible] rządu miejskiego; referentem [illegible] nia ministerstwa spraw wewnętrznych był zdolny, młody prawnik, zdaje mi się rodem spod Wyłkowyszek, Sienkiewicz. Wymieniam jego nazwisko, bo poległ w wojnie 1920 roku i ślad po nim zaginął.

Nowy ustrój został wprowadzony dekretem Naczelnika Państwa, z dnia 4-go lutego 1919 r. W sześć tygodni potem, po przeprowadzeniu wyborów, odbyło się pierwsze posiedzenie rady miejskiej już w niepodległej Polsce. Na prezydenta miasta wybrano Piotra Drzewieckiego, a mnie na prezesa Rady. Piastowałem tę godność aż do rozwiązania rady, w dniu 6-tym kwietnia 1927 r., przez Prezydenta Rzeczpospolitej, Ignacego Mościckiego, albowiem on jeden tylko, według statutu, był władny rozwiązywać Radę Miejską stolicy.

Od tego czasu przy każdej zmianie ustroju samorządów, a było ich wiele — samorząd miejski ulegał coraz większym ograniczeniom, aż właściwie utracił swoje dwie pierwsze sylaby i stał się jedną z dykasterii władzy administracyjnej.

* * *

... Lecz trzeba mi przerwać tok tych przydługich, dawnych wspomnień, choć sercu drogich.

Wiosna życia ludzkiego nie wraca nigdy, ale każdego roku powracają święta Bożego Narodzenia, czas modlitw, wdzięczności i radości, nadziei, wzajemne wymiany życzeń.

Składając je Drogim Rodakom, kończę tą serdeczną prośbą z kolędy: „Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą!"

IGNACY BALIŃSKI

Jan WEPSIĘĆ

Kolęda pieśń radości

KOLĘDA... pieśń o Bożym Narodzeniu. Głęboko zapadła w duszę polską opromienioną dziecięcym wspomnieniem choinki, mszy pasterskiej, w śnieżną, mroźną i wyiskrzoną gwiazdami noc grudniową. Wrosła w sam rdzeń duszy polskiej. O sile związku świadczy to, że słowa pieśni i melodia jej cisną się razem na usta, jako coś bardzo znanego i bliskiego. Istotą owego związku jest głębokie zespolenie czynników religijnych i świeckich — narodowych.

Czymże jest kolęda? Jest czasem opowiadaniem i modlitwą, ale w większości wypadków — szczególnie, jeśli się weźmie pod uwagę kolędy pasterskie, czyli pastorałki — jest opowiadaniem o Narodzeniu Jezusa — jest pieśnią epicką. Pieśń ta jest zbudowana na kilku, ciągle powtarzających się motywach, takich jak: Narodzenie Jezusa, pokłon pasterzy, złożenie przez nich darów, podróż — mędrców do Betlejem, ich hołd.

W kolędach kościelnych bardziej artystycznych istnieje pewna ustalona proporcja w rozbudowie motywów. Inaczej w kolędach pasterskich, gdzie proporcja ta zachwiała się wskutek tego, że motyw hołdu pasterzy rozrósł się niepomiernie, usuwając w cień inne. W konsekwencji ten ostatni rodzaj kolędy nabrał charakteru bardziej świeckiego, a niektóre z jego kolęd grzeszą nawet gruboskórnością.

NIE od rzeczy będzie dodać, że obok kolęd kościelnych i świeckich mamy jeszcze jeden rodzaj, a mianowicie kolędy apokryficzne, których główną treścią jest opowiadanie o licznych cudach, jakie towarzyszyły Narodzeniu Jezusa. Jak niegdyś apokryfiści, już w drugim wieku po Chrystusie, jako ludzie Wschodu o bujnej wyobraźni, nie zadowolili się krótkim opowiadaniem Ewangelii o cudach zdziałanych przez Jezusa. [illegible] czy opowiadanych ży- [illegible] ilość cudów, — [illegible] apokryficznych tworzyli [illegible] opowiadały o cudach zdziała- [illegible] Jezusa także i w dzieciństwie. [illegible] swoje uzasadniali bardzo pro- [illegible] działał cuda w czasie nau- [illegible] czego nie mógłby ich czynić, [illegible] (Zwłaszcza, że Ewangelie, [illegible] a św. Jan i św. Łukasz, poda- [illegible] obną część nauk, znaków i cudów [illegible]

[illegible] ując od rodzajów kolęd, przyglądsię motywom. Powiedzieliśmy, że najczęstsze motywy kolędowe, to Narodzenie Jezusa, hołd pasterzy, składanie darów, hołd mędrców. Jednym z motywów jest również żłóbek, w którym złożono Dziecię Jezus. Otóż żłóbek i stajenka betlejemska stały się przedmiotem nie tyle opisu, ile punktem wyjścia do rozważań o cierpieniu i poświęceniu się Bożej Dzieciny dla człowieka. Kolęda „Triumfy Króla Niebieskiego" opowiada, że

Drży z zimna Dziecię,
Bo w biedne powicie
Matka je otuliła.

Natomiast kolęda: „Ach ubogi żłobie" bardziej akcentuje ofiarę Jezusa:

„Ach ubogi żłobie, cóż ja widzę w tobie?
Droższy widok niż ma niebo w maleńkiej osobie.
Zbawicielu drogi, także ś to ubogi,
Opuściłeś śliczne niebo, obrałeś barłogi,
Czy żeś nie mógł sobie — w największej ozdobie
Obrać palacu drogiego, nie w tym leżeć żłobie?

DALEKO szerzej, a najszerzej w ogóle, jest rozbudowany motyw hołdu pasterzy. Ewangelia powiada, że pasterze pierwsi z ludzi złożyli hołd Jezusowi. To też zgodnie z Ewangelią autor kolędy: „Z Narodzenia Pana dziś dzień wesoły" opowiada, że pasterze:

... gdy anielskie głosy słyszeli,
Zaraz do Betlejem prosto bieżeli.
Tam witali w żłobie Pana,
Poklękali na kolana,
I oddali dary, co z sobą wzięli.

Hołd Pasterzy ma także pewien aspekt społeczny. Z faktu, że aniołowie nikogo innego, ale pasterzy powiadomili pierwszych, autorzy kolęd wyciągnęli wniosek, że prości pasterze nie tylko nie są mniej warci wobec Boga niż bogaci, ale, że przez swe ubóstwo, które wybrał Jezus, są Mu nawet milsi. Bardzo wyraźnie występuje to w kolędzie Fr. Karpińskiego „Bóg się rodzi":

Biedni pastuszki, pobożni prostacy,
Wyście aniołom pierwsi uwierzyli.
Chociaż byliście najwięksi biedacy,
Pierwsi z darami do szopy przybyli.

Albo:

Ubodzy, was to spotkało
Witać Go przed bogaczami.

Inny motyw — to dary. Pasterze, idąc do Betlejem, wzięli ze sobą dary dla Jezusa. Kolędy kościelne nie wyliczają szczegółowo darów, lecz krótko opowiadają:

I oddali dary, co z sobą wzięli,

Lub:

I my też pośpieszmy, Jezusa ucieszmy
Ze serca darami, modlitwą, cnotami.

W przeciwieństwie do kolęd kościelnych, kolędy pasterskie wyliczają często szczegółowo dary. Niosą więc pasterze wszystko, co mogło przydać się Jezusowi. Wśród darów znajduje się baran, czasem cielę czy koza, gęś czy kura, bardzo często osełka masła, ser, jaja, czasem kiełbasa, a nawet kawałek płótna na sukienkę dla Bożej Dzieciny. (Ba! bywała i gorzałka na rozgrzewkę dla św. Józefa!).

Śladem pasterzy śpieszą z darami do Betlejem i inne warstwy społeczne, rozmaite zawody, wreszcie różne narody. Nie obeszło się tutaj bez przycinków satyrycznych. Taki n.p. Węgier — w jednej z kolęd, bardzo podobny do Cygana — składa olejki w darze Jezusowi, Włoch zaś przychodzi z narodowymi instrumentami muzycznymi i śpiewa.

MOŻE nasunąć się pytanie, dlaczego motyw hołdu pasterzy i ich darów tak bardzo rozrósł się, że zdobył miejsce naczelne, dlaczego tak zeświecczył się, że przekroczył nawet w niektórych kolędach granice przyzwoitości.

Otóż dlatego, że w większości wypadków autorami kolęd byli ludzie prości, którzy nie mieli wyrobionego zmysłu subtelności, a po drugie — większość kolęd powstała w wieku XVII, epoce silnych wybujałości uczuciowych, przy jednoczesnym zbyt powierzchownym pojmowaniu zjawisk psychicznych, kulturalnych — w epoce kultu sarmackiego temperamentu i zawadiackości.

Skoro autorzy wprowadzili do betlejemskiej szopy pasterzy tłumnie, ci szybko oswoili się z obecnością Jezusa i Jego Matki, i zaczęli zachowywać się swobodnie, rozumując, że oni właśnie są Jezusowi najmilsi, skoro im pierwszym pozwolił złożyć hołd, skoro im pierwszym, nawet przed królami, aniołowie obwieścili Narodzenie Jezusa.

Prości pasterze, porwani temperamentem, nie znający i nie krępowani kodeksem zachowania się, zaczęli zachowywać się tak, jak ztedy, kiedy są sami z sobą. Temperament i zwyczaje Bartków, Maćków i Wojtków uawniły się aż nadto wyraźnie. Ponieważ każdy z nich chce rozweselić Bożą Dziecinę czym tylko może, dlatego jeden śpiewa, inny gra na jakimś instrumencie, inny wreszcie tańczy. Jeśli wobec Jezusa i Jego Matki mają ci ludzie wiele uszanowania, to brak im go już w stosunku do Św. Józefa. To też w jednej kolędzie św. Józef wypija z nimi wino, które przynieśli pasterze w darze, po czym zasypia. W innej kolędzie św. Józef puszcza się w tany, pomagając sobie przy tym laską, gdyż autor nie zapomniał o rzekomo podeszłym wieku opiekuna Boskiego Dzieciątka, wieku — który nie pozwalał na taki objaw radości.

W ten sposób wzorem radości w pastorałkach stała się radość ludzi prostych, o formach często niewybrednych.

Moment pierwiastka modlitwy sprowadził się do krótkiej prośby o zbawienie duszy, błogosławieństwo dla człowieka, a w niektórych kolędach błogosławieństwo dla ojczyzny.

*

UWAGI o motywie pasterzy i darów pozwalają nam stwierdzić, że jakkolwiek kolędy opowiadają o wydarzeniach, których tłem jest Ziemia Święta, to jednak ich folklor jest nie palestyński, lecz polski. Autor, opisując w kolędzie żłóbek czy szopkę betlejemską, przedstawiał ją tak, jak szopę widzianą przy drodze, kiedy szedł na pasterkę, czy nabożeństwo w Boże Narodzenie. Tą drogą bezpośredniej znajomości polskiego krajobrazu wszedł do kolędy śnieg i mróz, tą samą drogą weszli nie pasterze — Arabi, czy — Żydzi, ale polscy pasterze w



Botticelli (Rzym, Galeria Bo

Aniołowie się radują...



Botticelli (Florencja, Galeria Uffizi

Pod niebiosa wyśpiewują





polskich kożuchach, a niektórzy w zróżnicowanych strojach ludowych, z polskimi instrumentami muzycznymi, ze swoimi zwyczajami i manierami. Przez polski folklor, polski sposób życia — stały się kolędy polskimi.

Są one jeszcze polskie i przez swe melodie. Są bowiem wśród nich melodie polonezów, oberków, krakowiaków, kujawiaków, mazurków. Szczególnie melodie krakowiaków nadają kolędom dużo charakteru swojskiego, dużo rytmu, werwy sarmackiej i zawadiackości.

Do takiego spolonizowania kolęd mogło dojść dlatego, że poza niezbyt wielu wyjątkami, autorami kolęd byli ludzie prości, może organiści, samorodni poeci. Ci posługiwali się środkami najprostszymi, najlepiej sobie i bezpośrednio znanymi.

AUTORÓW kolęd, poza niektórymi, jak np. Karpiński, Słowacki, Norwid, Wyspiański nie znamy dlatego, że tym anonimowym twórcom podobnie jak średniowiecznym autorom pieśni religijnych bardziej zależało na chwale Bożej, niż osobistej sławie.

Żywot kolędy polskiej jest bardzo długi, gdyż pierwsze kolędy pochodzą jeszcze z czasów średniowiecza. Jednak okres najsilniejszego jej rozwoju, jej złoty wiek, przypada na wiek XVII. W wiekach następnych twórczość kolędowa słabnie.

Kolęda — jakkolwiek w swoim rodowodzie nie jest oryginalnym wytworem polskim, ale przyjętym wraz z kulturą zachodnio-europejską, to jednak w porównaniu z francuskimi *Noëls*, czy niemieckimi *Weihnachtslieder*, ukraińskimi czy rosyjskimi *„koladami,”* rozwinęła się bujniej tak ilościowo, jak i jakościowo.

Nic więc dziwnego, że wywarła nawet wpływ na kolędę w języku ukraińskim, która zapożyczyła nie tylko pewnych wzorów opracowania motywów, ale także i budowy wierszowej, a nawet i niektórych melodyj. W ówczesnych warunkach zjawisko to było bardzo proste. Polskie ośrodki promieniowały wyższą kulturą, przedstawiały siłę atrakcyjną. Otoczenie, przyjmując polską kulturę świecką, przyjmowało razem z nią wzory pieśni religijnych.

JAN WEPSIĘĆ



Człowiek Pius XII

WYSOKI, smukły, o ciemnych, przypruszonych siwizną włosach i przenikliwych, czarnych oczach, schowanych za rogową oprawą szkieł, orzymskim rysunku nosa, podkreślającym ascetyczny wyraz twarzy, Pius XII robi wrażenie człowieka, który całkowicie oderwał się od materialnej strony życia, by osiągnąć możliwie najwyższy poziom duchowego i intelektualnego rozwoju. Henry Bordeaux napisał swego czasu: „on wzniósł się do takiego stopnia uduchowienia, że umartwione i niemal przeźroczyste ciało służy jedynie jako zasłona duszy.”

Pius XII posiada niezwykle wyostrzony i logiczny umysł. Dyplomaci, którzy go znają, stwierdzają, iż w rozmowach uderzała ich uporczywość, z jaką Ojciec św. — pomijając i eliminując niepotrzebne dygresje — stale powracał do głównego tematu, dopóki nie został wyczerpująco przedyskutowany. Niezwykła pamięć jest mu dużą pomocą. Rzadko odczytuje swoje mowy; zwykle uczy się napisanego tekstu i po dwukrotnym przeczytaniu zna go na pamięć i to wszystko jedno w jakim języku ma mówić. Zwracając się raz do grupy węgierskich pielgrzymów i mając jedynie powierzchowną znajomość węgierskiego, jednego z najtrudniejszych języków świata, tak dobrze zapamiętał fonetykę wyrazów, iż, ku zdumieniu obecnych, przemówił do nich w poprawnej węgierszczyźnie.

W jego mowach uderza głęboka kultura humanistyczna. Zmaleźć w nich można cytaty z Homera, Sofoklesa, Herodota. Jako urodzony Rzymianin umie podziwiać pogańskie piękno miasta Cezarów i doceniać geniusz cywilizacyjny Rzymu. Przypisuje mu się zdanie: Żyć heroicznie — znaczy więcej, niż żyć wygodnie” — zdanie, które później skłoniło Mussoliniego do powiedzenia: „lepiej przeżyć jeden dzień jak lew, niż sto dni jak baranek.”

Znane jest zamiłowanie Piusa XII do literatury współczesnej. Jego styl porównują często ze stylem biskupa Bossuet. Ze studiów nad starożytną Grecją wyniósł owo wysokie uznanie dla artystycznego wyrazu i upodobanie do estetyki; Rzym cezarów dał mu praktyczne podejście do problemów, wiedzę rządzenia i znajomość prawa.

Wiele z jego włoskich kazań i mów, odznaczających się jasnością, liryzmem obrazów, czystym stylem i głębokością myśli, włączono do obowiązkowych tekstów w religijnych szkołach i seminariach Italii. Gdy mówi — głos jego jest jasny i miły. Smukłe ramiona, delikatne, niemal wyrzeźbione ręce, którymi czasem podkreśla zdanie lub słowo, przedziwne uduchowienie, wątłe ciało okryte białą papieską szatą — nadają mu postać apostoła.

Nie jest on popularnym, czy raczej pospolitym papieżem — w tym sensie, że przeciętny człowiek może widzieć w nim kogoś, kto jest pobudzany tymi samymi impulsami, emocjami, cnotami i wadami, które są wspólne wszystkim ludziom. Głębia jego umysłu, skłonność do medytacji i odosobniania się, surowość życia, czynią go samotnikiem. Żelazna wola i samodyscyplina, stosowana konsekwentnie, dały mu pełne panowanie nad sobą. To też czasem sprawia on wrażenie człowieka, w którego gestach i słowach brak naturalnej spontaniczności, odruchowości. Nie mniej jednak panowanie nad sobą i dyscyplina odruchów nie są u niego celem samym w sobie. Dla Piusa XII są one narzędziem, którym broni interesów Kościoła. Od wczesnej młodości działalność jego była podporządkowana temu jedynemu celowi; jednakże w gronie najbliższej rodziny i osób, które zna dobrze, uczuciowa strona natury przełamuje barierę rezerwy i surowości. Staje się wtedy wrażliwym na codzienne sprawy i zwyczajne kłopoty bliźnich.

Pius XII kocha zwykłych, prostych ludzi, ich naturalność, naiwność i brak sofisterii. Gdy kończy się generalna audiencja — Papież miesza się z tłumem, słucha próśb i zwierzeń o rodzinnych kłopotach, pyta o imiona dzieci, patrzących nań wybałuszonymi ślepkami i kurczowo trzymających się matczynych spódnic, przyrzeka modlić się za tych, którzy są chorzy, lub w niebezpieczeństwie. Jest przy takich okazjach zwykłym, parafialnym księdzem. Znajomość psychologii mas dała mu długoletnia służba dyplomatyczna, podczas której stykał się z ludźmi z najrozmaitszych sfer. Wiele razy widziałem go w tłumie matek, błagających o specjalne błogosławieństwo dla swych maleństw, targających jego szatę, łapiących kurczowo za ręce, szarpiących za ramię. Raz krzyż, zwisający na piersi został połamany, kiedyś znów pierścień zniknął podczas owych demonstracji entuzjazmu.



Kopuła Św. Piotra Stanisław Drozd

Przy końcu jednego z posłuchań zobaczyłem chłopa włoskiego, który przebiwszy się przez tłum, w sali klementyńskiej, poprosił Ojca św. o spowiedź. Osobiste otoczenie i Monsignor Aborio-Mella di Sant'Elia, marszałek dworu, zdumieni zostali śmiałością prośby. Lecz nim zdążyli ochłonąć i odsunąć śmiałka, Papież wziąwszy wieśniaka pod ramię, odszedł z nim parę kroków, w kąt sali, i tam przez kilka minut z największą powagą słuchał spowiedzi i udzielił rozgrzeszenia.

Pius XII jest — psychologicznie — przeciwieństwem Piusa XI; ostrożny, łagodny, wyrozumiały Pius XII i impulsywny, szorstki, autorytatywny Pius XI. Pierwszy z nich, to uosobienie męża stanu, u którego temperament i odruchy kontrolowane są wnikliwym, głębokim i intuicyjnym umysłem, wyrobionym w tej najtrudniejszej ze szkół — służbie dyplomatycznej Watykanu.

Drugi, to bojownik nieraz niebaczny na skutki, często kierujący się bardziej odruchami szlachetnego serca i gorącego temperamentu, niż roztropnymi względami polityki. Mimo różnicy, albo raczej dzięki niej, ci dwaj ludzie walczyli ramię w ramię, w idealnej zgodzie, przeciwko rosnącym na sile wrogom Kościoła. Ich wzajemny stosunek był czymś więcej niż tylko lojalnością i posłuszeństwem, należnym głowie Kościoła ze strony współpracownika. To było zespolenie przyjaźni, oddania, szacunku i podziwu. Stary Pius XI oceniał głęboką znajomość problemów politycznych, zmysł przewidywania i błyskotliwy umysł swego sekretarza stanu, który często łagodził jego własny upór i zapalczywość.

Pewnego razu, w rozmowie z kardynałem Faulhaberem, arcybiskupem Monachium, rzekł:

— „Gdybyż świat katolicki wiedział, jak wiele Pacelli znaczy dla Kościoła!”...

Więcej: — szorstki, uparty, autorytatywny Papież, którego choroba na szereg lat przed śmiercią często odrywała od spraw bieżących, w zupełności ocenił zasługi swego współpracownika, umiejącego interpretować jego życzenia i wykonywać instrukcje tak skutecznie i gładko. Nic dziwnego, że, gdy Pacelli wyjeżdżał w 1938 roku na Kongres Eucharystyczny do Budapesztu, Pius XI wyraził się do grupy kardynałów:

— „Pacelli zawsze mówi za Nas.”

Według opinii ludzi pracujących z nim oddawna, Pius XII zawsze był gruntownie przygotowany do rozwiązywania każ[...] poważnego zagadni[...] przed wyjazdem w ch[...] Bawarii, zaznajamiał się [...] problemami kraju, w którym m[...] Decyzje ważne poprzedzał zaw[...] namysłem.

Ściśle i regularnie śledzi rozw[...] jak i międzynarodowych wydarze[...] nie, metodycznie przegląda pr[...] krajów. Znajomość języków po[...] w tym niezmiernie. Stąd też cudz[...] przyjmowani, na prywatnych audie[...] zaskakiwani są orientacją Papieża w spra[...] nieraz nawet ich lokalnego i bardzo partykularnego charakteru.

Wśród wielu godzin spędzonych za biurkiem Papież codziennie znajduje czas na godzinny spacer po południu. Zwyczaj ten datuje się od czasów, gdy Kard. Gasparri, na krótko przed wciągnięciem Pacelliego do pracy w charakterze sekretarza stanu, widząc wybladłego i przemęczonego współpracownika, powiedział mu:

— Księdzu, który mówi wiele o niebie dobrze zrobi, gdy będzie czuł ziemię pod nogami.

Jeszcze jako Sekretarz Stanu Pacelli bywał codziennie widywany w Villa Borghese, ślicznym parku w centrum Rzymu. O czwartej po południu czarna limuzyna zatrzymywała się przed główną bramą na Piazzale Flaminio. Z limuzyny wysiadał odziany w płaszcz zwykłego księdza Pacelli ze swoim prywatnym sekretarzem i rozpoczynał szybki spacer. Po ujściu kilkuset kroków Pacelli zwalniał tempa i zaczynał odmawiać brewiarz.

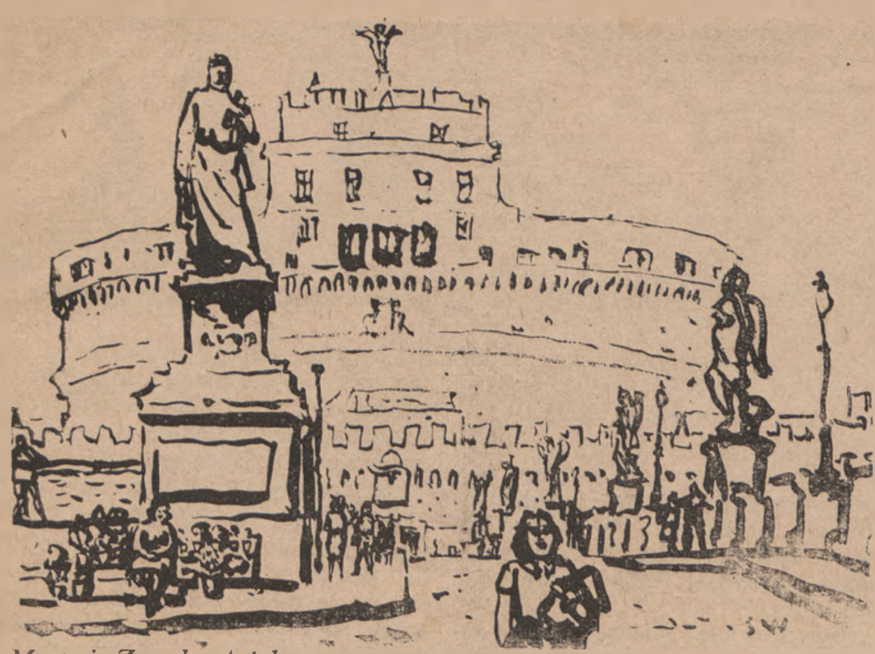
Pewnego popołudnia, gdy siedziałem z żoną na herbacie w Casina delle Rose, ukrytej wśród drzew i bardzo uczęszczanej przez turystów, ujrzałem nagle Sekretarza Stanu, zdumionego widokiem tylu ludzi, siedzących wokół. Obiegał go ich szept: — Vedi, vedi — il Cardinale Pacelli! — „Patrz, patrz kardynał Pacelli”.

Tak był zatopiony w brewiarzu, iż dopiero wtedy zauważył, że zboczył z głównej ścieżki — gdy natknął się na ten tłum.

* *
*

Gdy kardynał zostaje wybrany papieżem, traci narodowość, nazwisko i wszelkie cywilne więzy z krajem urodzenia, by stać się namiestnikiem Chrystusa na ziemi, głową duchowego imperium i członkiem każdego narodu, gdzie są katolicy. Nie masz władcy, który jest takim sługą swej misji, a równocześnie bardziej absolutnym monarchą w swej władzy, niż Papież.

Przed wyborem są przygotowane trzy białe szaty, każda o innym wymiarze, tak,



Most i Zamek Anioła Stanisław Westwalewicz

by nadały się do różnego wzrostu. Życie codzienne Papieża regulowane jest do najdrobniejszych szczegółów, dzięki tradycji, podtrzymywanej przez ludzi, tworzących dwór i egzekutywę. Zmieniają się oni, lecz ci, co po nich przychodzą, mają te same zadania do spełnienia i wybierani są — stosownie do utartych i zakorzenionych tradycji — z tych samych środowisk. Naprzykład spowiednikiem papieskim — jest zwykły Jezuita, przychodzący raz na tydzień o regularnej porze do Watykanu i on jedynie ma władzę rozgrzeszania głowy Kościoła. Marszałkiem dworu jest Dominikanin; zakrystianem — Augustianin.

Gdyby papież naruszył tę tradycję bez poważnych powodów, dany zakon uznałby to za gest obrazy; nawet dla Papieża zrodziłoby to poważny kłopot z uwagi na silne poczucie solidarności wśród członków zakonu. Pius X, świątobliwy człowiek o prostych gustach i nawykach, (jego proces beatyfikacyjny jest w toku), przerażony był początkowo swym wyborem na Papieża. Pewnego dnia wskazując na szwajcarów, stojących u drzwi, szepnął do starego przyjaciela:

— To moi dozorcy więzienni...

Podobnie jak Benedykt XV, który w dziesięć minut po wyborze spacerował po Watykanie, czując się jak u siebie w domu, Pius XII nie potrzebował „wprowadzenia" w swą nową godność — dzięki doświadczeniu, nabytemu w ciągu 9 lat pracy w Sekretariacie Stanu. Poznawszy praktycznie w tym czasie każdego mieszkańca maleńkiego państwa i wszystkie strony administracji, rozmieszczenia — przejął władzę bez tych doraźnych zakłóceń, towarzyszących zwykle końcowi jednego, a początkowi następnego pontyfikatu. Nie zmienił prostoty życia, cechującej go jeszcze w czasach, gdy był sekretarzem Stanu.

Wstaje o godz. 6.30. Goli się, jak przystało na nowoczesnego papieża — elektryczną maszynką, kupioną swego czasu w Ameryce. Służący wchodzi do pokoju dopiero gdy Papież jest już ubrany. Sypialnia, z oknami wychodzącymi na Plac św. Piotra jest umeblowana z największą prostotą. Proste, mosiężne łóżko z adamaszkową zasłoną, średniej wielkości dywan, prosta szafa, małe lustro i mahoniowy stół — oto całe urządzenie sypialni. Na ścianie obraz Matki Bożej. Jadalnia jest równie niepretensjonalna. Mały gabinet, łazienka, zbudowana za czasów Piusa XI i duża sala przyjęć oraz szereg pokojów, zajętych przez służbę, dopełniają papieskich apartamentów. Należy do nich również pokój gościnny, który za ostatnich trzech papieży był tylko raz zajęty — wtedy, gdy Pius XI gościł w nim polskiego księdza,*) odpłacając mu tym samym gościnę, jakiej zaznał za czasów swej nuncjatury w Polsce.

Pewnego popołudnia na dziedzińcu św. Damazego usłyszałem klaskanie. To strażnik papieski, pełniący służbę, dawał znać, że Papież wychodzi na spacer. Sygnał natychmiast został przekazany wzdłuż trasy. Auta zatrzymano, przygodnych spacerowiczów poproszono o opuszczenie ogrodu. Ukryłem się za jedną z kolumn i zobaczyłem Piusa XII, okrytego lekkim, białym płaszczem, w czerwonym kapeluszu z szerokim rondem. Wchodził do czekającej nań limuzyny, w towarzystwie szambelana, który tego dnia właśnie był na służbie. Poza tym towarzyszył mu „essente" z gwardii, na którym spoczywa obowiązek strzeżenia osoby Papieża.

Pius XII prowadzi bardzo regularny tryb życia, w którym jednak bardzo niewiele miejsca pozostaje na spoczynek. Szereg razy, przechodząc Placem św. Piotra, widziałem światło w oknach jego gabinetu, palące się późno po północy. Nikt nie wie oficjalnie, co Papież robi w tym czasie. Lecz według zdania dostojników, stojących blisko niego, Papież pisze przez kilka minut swój dzienniczek, następnie pracuje nad teologicznym traktatem, rozpoczętym szereg lat temu. Manuskrypt trzyma pod kluczem i nigdy o nim nie wspomina.

Nie dopuszcza zmian w codziennej regule dnia, z wyjątkami, wymaganymi przez udział w funkcjach religijnych i ceremoniałach stanowiących istotną część jego misji.

Surowo przestrzega punktualności w stosunku do siebie i drugich.

Pius XII wyswobodził się z wszelkich biurokratycznych czynności i zostawiwszy administrację zaufanym urzędnikom, oddaje się całkowicie sprawom Kościoła.

*

Z książki: The Vatican and the War" by Camille M. Cianfarra. 1944, *E. P. Dutton and Co., New York City.*

*) *Pisał o tym wydarzeniu, w Nr.* 11 *ŻYCIA, Ignacy Byliński.*



Szczątki wiary czy zaczyn odrodzenia?

W pociągu

PÓŹNA jesień 1939 r. W pociągu na linii kolejowej Lwów—Stanisławów, w jednym z wagonów pośród licznych żołnierzy sowieckich, jest i garstka swoich — Polaków. Dwie Polki, zajmujące miejsca przy oknie wagonu, w momencie, gdy pociąg przejeżdżał w pobliżu kościoła, zwyczajem lwowskim zrobiły znak Krzyża św. Zrobiły go odważnie i śmiało, tak, że zwróciły na siebie uwagę wielu obecnych. Zaskoczyło to zwłaszcza żołnierzy sowieckich. Patrzyli na nie najpierw z pewnym podziwem, niedowierzaniem, ale wkrótce ochłonęli i zaczęły się śmieszki, następnie naśladowanie, szykany...

W wagonie wytworzył się nastrój dla naszych Polek bardzo nieprzyjemny. W chwili, gdy napięcie rosło i gdy już — zdawało się — trudno będzie wytrzymać, poderwał się naraz na nogi, starszy nie stopniem, ale wiekiem krasnoarmiejec i głosem podniesionym, a stanowczym, kilku ostrymi zdaniami, kolegów swoich przywołał do porządku. Czy cieszył się wśród nich takim autorytetem, czy też zrozumieli brzydkość swego postępku, dość, że w wagonie uciszyło się. Wrócili do swoich tematów; Polki i religię zostawili w spokoju.

Pociąg sunął dalej, a w międzyczasie w wagonie zrobiło się przestronniej. Skorzystał z tego ów starszy krasnoarmiejec i zbliżył się do nagabywanych przed chwilą Polek. Rozmowa potoczyła się na różne tematy, aż wreszcie dotknięto i sprawy religii. Poruszył ją właśnie ów żołnierz sowiecki, upewniwszy się, że go nikt z kolegów nie słyszy. Polki, pamiętając niedawną burzę nad własnymi głowami, nie chciały wdawać się w dalsze roztrząsanie i ucięły mu krótko:

— Przecież dla was to zagadnienie nie istnieje.

Na to tamten, nie chcąc dać za wygraną, stawia im pytanie:

— Odpowiedźcie mi na jedno: — kiedy człowiek częściej myśli o Bogu, czy wtedy, kiedy mu się dobrze powodzi, czy też, gdy bieda mu dokswiera?

— Oczywiście raczej w biedzie, odpowiadają udobruchane już Polki.

— A w takim razie, ciągnie znów tamten, wy wiecie, jak my żyjemy w Rosji... Możecie więc być pewne, że częściej myślimy o Bogu, aniżeli wam się wydaje!...

„W Rosji o Bogu się myśli!"

Przez czas przeszło dwuletniego pobytu w Rosji Sowieckiej podziwiałem, jak trafną była opinia tamtego żołnierza i jak ścisła w wysłowieniu! W Rosji o Bogu się nie mówi, chyba, gdy się chce „udowodnić," że, według recepty bolszewickiej, nie warto Nim się zajmować; w wielu przypadkach nie można nawet powiedzieć, że tam istnieje „wiara" w Boga, bo zresztą wiara — zdaniem św. Pawła Apostoła — bierze się dopiero ze słyszenia; ale za to możemy i musimy stwierdzić: — w Rosji, nawet tam, gdzie w Boga się nie wierzy — w Rosji o Bogu się myśli!

By nie być źle zrozumianym: nie jest mi rzeczą obcą, iż akt wiary jest również aktem rozumu. Ale w akcie wiary kryje się jasność i pewność, które czerpie on z mocy powagi, jakiej zaufał. Gdy mowa o akcie wiary nadprzyrodzonej, to w grę wchodzi autorytet Boga, poznany nie tylko rozumem, ale poparty jeszcze Objawieniem. Mówiąc o Rosji, nie odważyłbym się wobec tego twierdzić, że dziś lud, a raczej ludy Rosji, wierzą powszechnie w Boga. Nie możemy zaprzeczyć, wspomnę sam o napotkanych budujących przykładach, a każdy z nas, kto był w Rosji ma ich na poczekaniu dziesiątki: — starsze pokolenie, względnie to, które przez tamto zostało w tajniki wiary wprowadzone, te szczątki wiary przechowuje pieczołowicie.

Ale co powiedzieć o innych, o tych, którym poskąpiono nauki katechizmu, a natomiast upojono ich teoriami Lenina — Stalina? — Czy ci zatracili nawet, powiem, ten zmysł duszy, który Tertulianowi kazał *wszelką* pod słońcem duszę ludzką nazywać: „naturaliter christiana" — z natury chrześcijańską!? Czy dusza rosyjska nie ciąży więcej ku Bogu?

Moje osobiste zetknięcie się z wielu ludźmi z różnych warstw i o niejednolitym przekroju umysłowym pozwala mi powtórzyć, iż miał rację ów krasnoarmiejec, gdy twierdził, że mimo wszystko, mimo usiłowań rządu i partii, w Rosji dziś przynajmniej m y ś l i s i ę o Bogu i to częściej, aniżeli na zewnątrz może się wydawać. Że w myślach tych niejdnokrotnie tlą się zarzewia gorącej wiary, a niekiedy tylko dogasające iskierki, względnie — że są one obrazem niepokojów duszy z natury chrześcijańskiej — nie przeczę. Owszem, piszę się pod wszystkimi trzema możliwościami, dając pierwszeństwo przekonaniu, że pojęcie Boga, jak również wieczne sprawy duszy naszej, społeczeństwu rosyjskiemu, we wszystkich jego warstwach, nie są obce.

„Pierwszy raz to słyszę!"

By nie być gołosłownym, odgrzebuję z pamięci kilka obrazków.

W styczniu 1942 r. odbywałem podróż z Buzułuka do Kazachstanu. Pomiędzy Orenburgiem a Czelabińskiem jechałem w jednym przedziale z trzema rosyjskimi inżynierami. Ewakuowali fabryki z terenu przyfrontowego i oto byli w drodze na Ural, by tam je na nowo zakładać. W Buzułuku jeszcze, dobrałem sobie do towarzystwa dwu młodzieńców, którzy zgłosili się do wojska, ale że oddziały nasze przenosiły się właśnie na południe, a oni byli za młodzi, nie przyjęto ich. Jechałem w strony, gdzie były ich rodziny, zapewniłem im więc pomoc materialną i namówiłem do powrotu. W drodze okazali się dobrymi towarzyszami podróży, a poza tym... dostarczyli mi materiału do niniejszego wspomnienia.

Młodszy, lat 17, troszkę czupurny, nie złą miał wymowę. A że droga dłużyła się, bo silny mróz i zawieje śnieżne raz po raz pociąg nasz więziły, czasu do rozmów i roztrząsań było sporo.

Pewnego dnia mój młody towarzysz wszczął z jednym z inżynierów spór na tematy religijne. Tamtemu pomagali dwaj jego koledzy, ale zuch nasz bynajmniej im nie ustępował. Naraz, w pewnym momencie, utknął. Postawiono mu trudność, że, jeśli P. Bóg istnieje, to jak wytłumaczyć tyle niesprawiedliwości na świecie, a przede wszystkim nierówne tutaj szanse dobrych i złych.

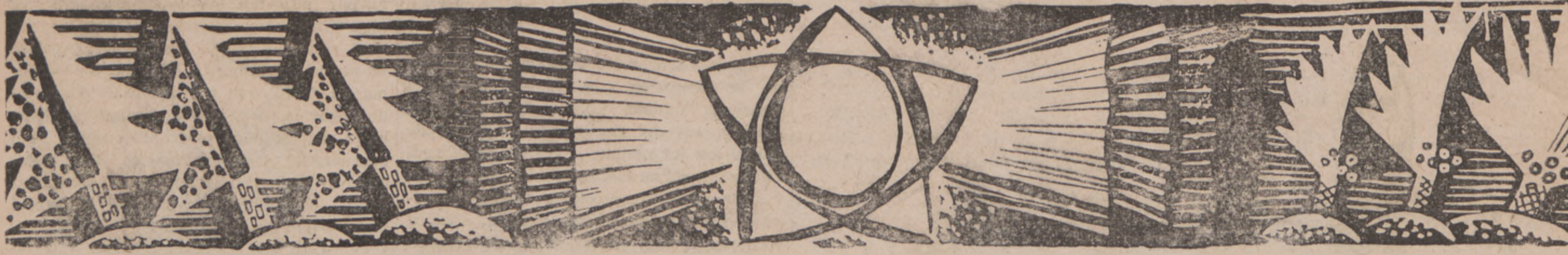
— Dotychczas do rozmowy nie mieszałem się; wolałem, że robi to za mnie ów młodzieniec, ale, gdy teraz powinęła mu się „noga," wsunąłem i ja swoje dwa grosze. Zauważyłem, że dla nas sprawiedliwość nie kończy się na tym świecie; Bóg jest cierpliwy i będzie miał czas na załatwienie porachunków w wieczności...

— To jedno zdanie, jak gdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zaraz otworzyło oczy naszemu przeciwnikowi na trudności, które wysuwał, a które — czuło się — były wewnętrznymi niepokojami duszy. Przez chwilę skupił się cały w sobie, a następnie uderzył się ręką po kolanie i powiedział:

— Ot, pierwszy raz ja to słyszę!

Po chwili powtórzył uderzenie i te same słowa.

Dyskusja urwała się. Milczenie, jakie zapanowało, mówiło, iż ten człowiek trawi to, co „po raz pierwszy" przed chwilą usłyszał. Z pytań, jakie stawiał, z trudności, którymi nas za-



sypywał — „Bóg,” „dusza,” widać było, nie były mu obojętne. Brakło mu klucza, który Łaska Boża podsuwa niejednokrotnie wtedy dopiero, gdy wraz ze słyszeniem do duszy zakradnie się nasienie wiary...

Otwierały się oczy

Jedną z przyczyn, dla których w Rosji, wśród młodych zwłaszcza, o Bogu dziś g ł o ś n o się nie myśli, to wmówienie w młode pokolenie, że Bóg, dusza, wiara — to przesądy *ciemnoty i zacofania*. Posądzono o to i mnie, i to nie raz jeden.

Zaczynało się zwykle tak: Będąc w drodze, wyciągałem część brewiarza, którą udało mi się uchować i zabierałem się do modlitwy. Brewiarz nowy, piękny, przyciągał uwagę otoczenia, ale gdy się spostrzeżono, że to modlitewnik, ze strony wielu młodych komsomołców czy bojców padały wtedy pod moim adresem zapytania w rodzaju:

— Kakoje wasze obrazowanie (wykształcenie)?” — „Skolko godów” uczyliście się? itp.

Mieli mnie co najwyżej za lichego pół-analfabetę. W pytaniach ich kryła się pogarda dla takiej jeszcze ciemnoty i choć pokazania, że oni już z tego wyrośli. Ja udawałem, wtedy, że nie rozumiem ich niedomówień i ze spokojem odpowiadałem, iż mam wykształcenie uniwersyteckie.

By zadowolić znów ich ciekawość, ile lat spędziłem na studiach, a jednocześnie argumentowi dodać większej siły — zaczynałem liczyć moje szkolne lata od przedszkola... Poprzez szkołę powszechną, gimnazjum, studia filozoficzne, praktykę pedagogiczną i wreszcie teologię, dawało to w sumie lat około dwudziestu. Po takim wzajemnym przedstawieniu się — a z tamtej strony nikt mi nie mógł przeciwstawić czegoś podobnego — następowało bardziej pojednawcze ustosunkowanie się do mnie.

Zaczynało się wtedy rozmowę nawet rzeczową, z tym, że słyszało się wyuczone na pamięć te same zawsze argumenty, które miały poniżyć, a nawet zohydzić wszelką religię. Ku wewnętrznej radości niejednokrotnie mogłem być świadkiem, jak wysunięty przeze mnie nasz dowód, nasz punkt widzenia otwierał im oczy... Zdawali się powtarzać za tamtym inżynierem:

— Ot, my pierwszy raz to słyszymy!...

— Przed Kościołem Katolickim, gdy chodzi o teren rosyjski, stoi zagadnienie przygotowania w tamtejszych językach broszur — życiorysów ludzi wiedzy, a jednocześnie, obstających za istnieniem i powagą Boga, niejednokrotnie tak głęboko wierzących, jak Ampère, Linneusz, Kepler, Pasteur, nasz Kopernik i tylu, tylu innych. Gdy przyjdzie czas, że Bóg pozwoli Kościołowi naszemu, Katolickiemu, stanąć pewną stopą na ziemi rosyjskiej, jednym z pierwszych zadań będzie uświadomienie otumanionego dzisiaj młodego pokolenia rosyjskiego, że „prawdziwa i głęboka wiara — by użyć słów Bacona — prowadzi do Boga, a tylko powierzchowna od niego odwodzi.”

„Skończmy. Nie mam czasu”

W Rosji raz jeden tylko miałem okazję poprowadzić rozmowę z obywatelem sowieckim na temat bardzo poważny — filozoficzny. Była to rozmowa, powiem, na poziomie.

— Na t. zw. „kwartał” w lasach na Uralu, gdzie rezydowałem, zjechała pewnego dnia wysoka jakaś komisja, mówiono: „sanitarna.” Było sporo wyższych funkcjonariuszy NKWD, był też i lekarz. Wróciłem z pracy, gdy komisja ta raczyła zaglądnąć w moje biedne progi. Niby to dla sanitarnej inspekcji, ale czułem, że chcieli mnie widzieć.

Wspomniany doktór zagadnął mnie po pierwszych zdawkowych pytaniach jak się czuję—czy znam ich sowiecką filozofię materialistyczną.

Odpowiedziałem, że tak, i że prócz niej znam też i inne.

Rozmowa zeszła na filozofów greckich, z czasów przed-Chrystusowych. Prosił mnie o wyrażenie mej własnej opinii, którzy z owych dawnych filozofów najwięcej mi się podobają. Wymieniłem kilku, zatrzymując się głównie na Arystotelesie. Okazało się, że mój rozmówca znał ich nie gorzej ode mnie.

Nie wiem, czy szczerze i raczej bym wątpił, ale zaczął mnie przekonywać, że właściwie i oni przyjmowali przesłanki ich dzisiejszej, sowieckiej filozofii.

— Boć przecież przyjmowali materię, jako pierwszy składnik wszystkich rzeczy i często, jako wieczną.

— Przytaknąłem mu, ale jednocześnie poprosiłem go o wyrażenie opinii, co sądzi, czemu przypisać np., że drzewa, — a że byliśmy w lesie, przykład ten narzucał się sam przez się, — dlaczego więc drzewa, choć posiadają w sobie tę samą miazgę, tę samą materię, różnią się jedno od drugiego? Czy by w tym względzie nie miał racji właśnie np. Arystoteles, który przyjmując materię, jako podłoże wszystkich rzeczy widzialnych, przyjmował jednocześnie w nich drugi składnik, t. zw. *formę*, która materii nadaje dopiero kształty i sprawia, że jedna rzecz różni się od drugiej, że posiada takie a nie inne doskonałości, itd. itd.

— Moje rozumowanie nie padało na opokę; — nie było mu zresztą obce. Korzystałem skwapliwie z tego i szedłem naprzód, prąc do tego, co Arystotelesa doprowadziło do uznania jednego, jedynego i prawdziwego Boga.

Zacząłem od tego, że jeżeli przyjmujemy ten drugi element, doskonalący materię, (czego on nie zaprzeczył) — to następne pytanie musi brzmieć: co istniało pierwej, biorąc choćby logicznie — myślowo — co musiało istnieć pierwsze: bezkształtna i bezwładna, bierna materia, czy też raczej ten czynny i doskonalszy czynnik?...

— Wniosek narzucał się z taką oczywistością z tego wszystkiego, cośmy już przedyskutowali, że naprawdę z uśmiechem na ustach, a radością w sercu czekałem na tę chwilę, kiedy mi przyzna, że w rzeczywistości nie materia, ale ten drugi czynnik, forma, gra ważniejszą rolę.

— Czy inni, zwłaszcza mundurowi funkcjonariusze NKWD, rozumieli naszą dyskusję, trudno mi powiedzieć; wiem tylko, że bacznie nas obserwowali i nie mogli się chyba nadziwić mojemu zadowoleniu, którego nie potrafiłem ukryć. Może właśnie przez wzgląd na nich nie dokończyliśmy tej jedynej, głębokiej, interesującej rozmowy z człowiekiem, który uderzał nie tylko powierzchownością, ale zadziwił mnie i głęboką, rzadko w Rosji spotykaną, znajomością rzeczy.

W chwili, gdy czekałem na odpowiedź twierdzącą, machnął ręką, a następnie, innym już tonem, pożegnalnym, ale serdecznym, bo czułem, że i jemu dyskusja nasza przypadła do smaku, powiedział: „Skończmy. Nie mam czasu.”

„Będziemy cię słuchać innym razem” — musiał wysłuchać i św. Paweł Apostoł. Ale wydaje mi się, była różnica pomiędzy tamtymi z Areopagu Ateńskiego, a tym, może i dobrej woli, ale zbyt obstawionym „aniołami stróżami” myślicielem sowieckim. Mam wrażenie, że takich, jak ten w Rosji jest więcej. Ale by w myśleniu nie zaszli przypadkiem za daleko, lub, by nie myśleli — za głośno, daje się im do towarzystwa, jednego lub więcej, opiekuna z... „dobroczynnego towarzystwa” — NKWD.

Jedyny skarb

Wspominając *niektóre* tylko z przeżytych na terenie Rosji chwil *podniosłych*, nie mogę nie wspomnieć spotkania z przedstawicielką starego, znikającego już pokolenia rosyjskiego.

Było to w pociągu na linii Swierdłowsk—Tawda. Jak zwykle, wyciągam brewiarz i zaczynam odmawiać. W wagonie mało ludzi, bo czas wojenny i istnieją ograniczenia dla cywilów. Tym razem nie daję się wciągnąć w dyskusję, bo jadę do swoich i wiem, że po przyjeździe do nich nie będę miał ani chwili czasu na odmówienie brewiarza. Po pewnym czasie przedział mój pustoszeje, tak, że zostaję tylko ja i staruszka, która — widzę to ukradkiem — od dłuższego czasu bacznie mnie obserwuje, — o, a w tej chwili łzy błyszczą w jej oczach.

Pragnę dociec, co się kryje za tymi łzami, przerywam więc brewiarz, podnoszę głowę i pytającym spojrzeniem staram się ją ośmielić.

Nie dała długo czekać. Pyta mnie, czy to jest „książka do modlenia” i czy ja przypadkiem nie jestem księdzem? — Potwierdzam jej domysły, wyjaśniając, że jestem Polakiem i księdzem *katolickim*. To ostatnie nie robi na niej wrażenia. Wystarcza jej, że widzi w ogóle osobę duchowną. Teraz zły ciekną jej po policzkach, jak strugi wody.

Pragnę ją uspokoić, ale nie udaje mi się. Wraca raz po raz do mojego brewiarza, a w końcu powiada, że i ona posiada książkę. Sięga ręką w zanadrze i zza bluzki wyciąga rzeczywiście sporą książkę. Podaje mi. Otwieram, rzuciłem okiem na pierwszą stronę i z radości aż podskoczyłem. Tak długo szukałem tej książki w języku rosyjskim, a oto sama wchodzi mi w ręce! Cieszę się, że będzie moją. Dam, co zechce, ale nie wypuszczę takiej okazji.

— Było to Pismo św. Starego i Nowego Testamentu po rosyjsku; piękne wydanie sprzed rewolucji, na cieniutkim papierze brewiarzowym, tak że całość: Stary i Nowy Testament, objętościowo tworzyły cieńszy tom od polskiego (np. jezuickiego pierwszego wydania Pisma św. w jednym tomie). Od dawna polowałem na takie Pismo św., bo nie znając dobrze rosyjskiego, miałem trudność, gdy zaszła potrzeba, w przytaczaniu tekstów Pisma św. po rosyjsku.

W owym czasie byłem już kapelanem Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, z pensją kapitańską, ponad tysiąc rubli. Był to w Rosji majątek, jeśli się zważy, że dobry robotnik miesięcznie mógł zarabiać kilkadziesiąt, rzadko dochodząc do setki. Mojej rozmówczyni z miejsca proponuję więc pięćset rubli, bo wiem, że książka ta warta tej sumy. Lecz — ona nie godzi się. Podwyższam więc cenę : już daję tysiąc rubli. (Myślałem. że jej chodzi o cenę). Wtedy staruszka ze łzami w oczach zwraca się do mnie z prośbą, bym nie nalegał, bo jej nie chodzi o pieniądze; co one jej pomogą, skoro i tak stoi już nad grobem. Liczy, że ja, jako ksiądz zrozumiem jej intencje.

— To jest jedyna świętość, jaka mi została po tamtych minionych, dobrych czasach: po cerkwi, a wreszcie i po zmarłym mężu.

— Właśnie te podkreślenia. uwagi, robione ołówkiem na marginesie, to wszystko pamiątki po moim mężu, bo jak długo byliśmy razem, wieczorem czytywaliśmy sobie to Pismo św., a to, co nam szczególniej się podobało — podkreślaliśmy ołówkiem. Dziś, dni moje są już po[...] czyłam dawno siedemdz[...] również, że przy mym [...] nie będzie kapłana, nie od[...] moją trumną modlitw, a n[...] nie postawią krzyża...

Tajemnicę tego skarbu, któr[...] nosi z sobą, powierzyła swoje[...] dynej córce, do której właśnie je[...] i u której — liczyła — dokończy[...] żywota. Córka zobowiązała słow[...] rodzicielskiej ostatniej woli, a tamta uroczyście jej to przyrzekła, że do trumny po śmierci włoży jej to Pismo św., że nie pochowa jej bez tego skarbu!!! Wierzy silnie, że P. Bóg przez wzgląd właśnie na tę jedyną świętość, której strzeże jak oka, udzieli jej łaski szczęśliwej śmierci i pojednania z Nim na wieki!...

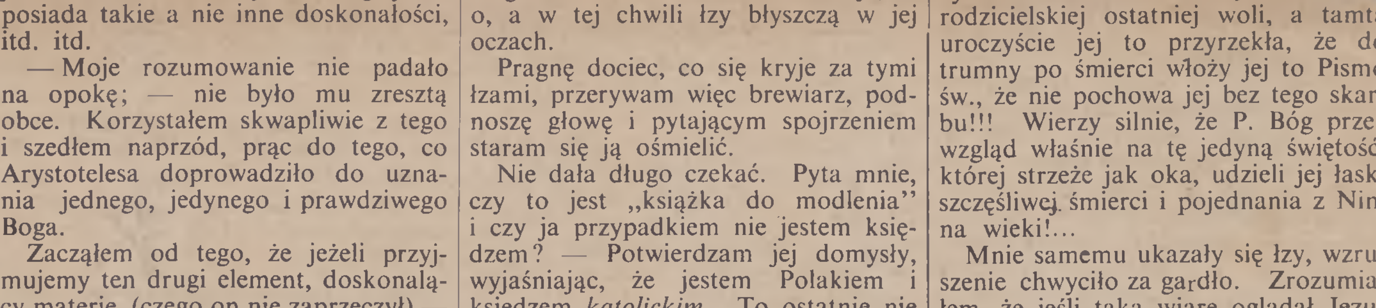
Mnie samemu ukazały się łzy, wzruszenie chwyciło za gardło. Zrozumiałem, że jeśli taką wiarę oglądał Jezus u setnika rzymskiego czy niewiasty chananejskiej, śmiało mógł twierdzić: „Nie widziałem tak wielkiej wiary ani w Izraelu!”...

Nadzieja nowego plonu

Gdy Żydów uprowadzano do niewoli babilońskiej, kapłani Świątyni Jerozolimskiej ukryli święty ogień z ołtarza w dolinie, w suchej studni. Po latach, gdy pozwolono im wrócić, wnukowie tamtych kapłanów w miejsce ognia znaleźli gęstą wodę. I oto zaczerpnęli jej i polali nią ofiary i drwa na nowym ołtarzu całopalenia; zstąpił też zaraz ogień z nieba, objął ołtarz i strawił obiatę.

Coś podobnego dzieje się dziś w Rosji. Świętości schodzą do grobów, by — kiedyś, gdy zaświta wolność, niczym obumarłe ziarno, stały się posiewem nowego plonu i zaczynem odrodzenia!...

KS. W.



Piotr KMITA

Na marginesie „Promethidionu" Cypriana Norwida

RELIGIA I SZTUKA

Cóż więc o pięknem?
Kształtem jest miłości
(Norwid, Promethidion)

I.

GRECY, ci niezrównani, w jednym słowie spięli na wieki dobro i piękno: *kalokagathia*. Takiego skrótu nie ma żaden język świata. Dlatego może, że harmonii przedistotnej między dobrem i pięknem nikt tak nie zgłębił, jak geniusz heleński, z którego wszyscyśmy wzięli. I jeśli Żydom zostało powierzone objawienie Prawdy, Greków możnaby nazwać *narodem wybranym Sztuki*. Nikt tak jak oni nie korzystał ze światła „które oświeca *każdego* człowieka na świat przychodzącego," by w bogatej księdze stworzenia odcyfrowywać ślady Boże, rozpoznając to, co Niewidzialne, w zwieciedle Bożych dzieł (Rzym. I, 20). To też chrześcijaństwo, zbierając do Ojcowych śpichrzów rozrzucone ziarna Prawdy — i te kruszyny naturalnego objawienia, od których skrzy się, jak od diamentów, cały ziemski glob — chrześcijaństwo rozpoznało, jak swoją i przyswoiło niemal bez reszty mądrość grecką, dając jej owo DOPEŁNIENIE, którego przez tysiąclecia szukała żarliwie, a pomacku.

A więc odkrycie tajemniczego powinowactwa pomiędzy religią a sztuką jest zasługą Hellady. Przekazała je Europie w uroczystym testamencie, któremu sprzeniewierzyć się nie sposób bez zdrady czy to Piękna, czy też Dobra-Miłości.

Przyjrzyjmy się historii: zanik zmysłu religijnego idzie zawsze w parze ze zmierzchem sztuki, zwyrodnienie zmysłu estetycznego jest nieomylnym miernikiem zaniku religii. Tak czy inaczej, rozwód między religią i sztuką zawsze się mści. Istnieje więc między nimi tajemne powinowactwo. Ale — jakie?

Trudność odpowiedzi na tym polega, że głos winniby zabierać przede wszystkim artyści, którzy wszakże, jak wiadomo, na śmierć są poróżnieni z sylogizmami.

A przecież prawdy ogólne domagają się logicznego wywodu, nie dość im genialnych intuicji. Z drugiej strony krytycy sztuki mają tę wielką wadę, że przeważnie sami nie są artystami i trudno im wczuć się bez reszty, *wmyśleć* niejako w genezę twórczości. Stąd pochodzą ciągłe zwady między t e o r e t y k a m i i s ł u ż e b n i k a m i Sztuki; zwłaszcza artyści, to plemię nader wrażliwe i zapalne („genus irascibile vatum" — „skore do gniewu plemię poetów") raz po raz zżymają się na uczone folialy, które ich kosztem wypisują różni uczeni i uczonkowie, podobni do słoni (tak powiedział mi z przekąsem pewien poeta) tańczących oberka wśród saskiej porcelany.

Nie będziemy tu próbowali godzić tych nieprzejednanych. Wyznajmy z cicha, że stajemy raczej po stronie artystów, aczkolwiek przyznać trzeba, że wywierając słuszną pasję na obskurnych gramotach, niesłusznie atakują rozum, jako taki. Sztuka to nie logika i na to nie ma żadnej rady, ale może logika ma swoje słowo do powiedzenia w sprawach sztuki, choćby poto, żeby ją nazwać po imieniu. Gdyż artysta gada tylko dziełami sztuki. To jego język i to jego argumenty. Gdy zaczyna teoretyzować, gubi się w genialnych banialukach, pławi w paradoksach. — Dlaczego? Dlatego, że próbuje wyrazić to, co niewyrażalne.

Domeną logiki są pojęcia. Domeną sztuki — byty konkretne. Jak wiadomo, pojęcie wyłuskuje się z konkretnych bytów, ale żaden konkret nie da się zawrzeć bez reszty w pojęciu.

I tak np. logik rozwodzi się nad człowiekiem *jako takim*, człowiekiem „w ogóle," gdy malarz, poeta, w ogóle nie wid, co to „człowiek w ogóle," lecz *widzi* takiego oto Piotra, co to ma oczy bladoniebieskie i brodawkę na nosie. Cóż obchodzi go „człowiek," gdy świat roi się od jednych egzemplarzy!

Podobnie logik prawi o pięknie *jako takim*, gdy artysta *widzi* piękno, wyrażone w kształcie. Każdy z nich podchodzi do sztuki inną drogą, z innej strony, i dlatego tak trudno im się dogadać.

Artystom zwłaszcza trudno wytłumaczyć, że żądają od teorii sztuki pewnego rodzaju kwadratury koła, gdyż najprostsze, artystyczne natchnienie jest innego wymiaru, niż najuczeńsza teza doktorska, i owszem, rozsadza wszystkie razem uczone księgi o Sztuce, napisane od stworzenia świata.

Zdarzają się wszakże — jakżeż rzadko! — wszechstronni geniusze, co sztukę godzą z filozofią, bez uszczerbku dla pierwszej i drugiej.

Takim geniuszem był Platon. Takim, wśród nas, był Norwid. Ci dwaj poprzez tysiąclecia podają sobie ręce, jak wysokie szczyty, co dostrzegają się nawzajem z daleka.

Rzecz znamienna: ten nasz Nieznany, Niedoceniony, „*pisarz treści, co jest krzyżem przemazana*," dał myśli greckiej *dopełnienie*, na które czekała od tysiącleci: *chrześcijańskie dopełnienie*.

Śmiem rzec, że nikt w literaturze świata nie zstąpił głębiej w istotę sztuki i jaśniej jej nie wyraził, jak nasz Poeta-Filozof. „Promethidion" jest kopalnią niewyzyskaną. Może i lepiej tak. Może lepiej, że Norwid jest „trudny" (to znaczy, że uczy, *każe* myśleć), gdyż dzięki temu mniej uczonych bierze imię jego nadaremnie. Lecz dzieło jego jest i będzie, coraz bardziej EWANGELIĄ SZTUKI, którą odcyfrowuje się lepiej na kolanach, niż z piórem (gęsim) za uchem.

W epoce, która pozostanie w dziejach, jako biuro rozwodowe Wartości, zaślubionych na wieki („człowiek niechaj nie rozłącza, co sam Bóg połączył"); w epoce, która dzieli i *różni* Prawdę i Dobro i Piękno, przyznając każdemu z nich autonomię i wygodną szufladkę, której ambicją było „obyć się bez Boga"*) Norwid na potopach historii wznosi „łuk przymierza" i wznawia święte śluby między Religią i Sztuką. Bez tanich polemik, bez krytyki i zajadłości, jak człowiek, co *widzi* i rzecz widzianą tłumaczy na słowa. Iż zaś ma nie tylko genialną intuicję, lecz i rozum genialny, łącząc, *nie utożsamia*, równając, *nie niweluje*, przepływa zwycięsko między Scyllą i Charybdą, które już tylu pochłonęły, tych co najlepszej intencji i nader niefortunnie ze sztuki robią religię, z religii — sztukę.

Gdyż sztuka, to nie religia, choć jest jej krewniaczką.

Rzecz znamienna: laicyzacja sztuki zaczyna się zawsze od tego, że robi się ze sztuki namiastkę religii. Ta jest wielka pokusa, („pokusa anielska," jak powiedziałby święty Tomasz z Akwinu) każdego niemal, rasowego artysty. Sądzi, że sztuka zastąpi mu religię, zaczyna ją ubóstwiać. Lecz sztuka jest nieprzekupna, nierada odbiera hołdy, które się jej nie należą. Ubóstwiona — schodzi sama z piedestału i zaczyna chorować na anemię. Gdyż religia jest jej potrzebna do życia, jak czerwone ciałka krwi, choć ona sama nie jest religią i być nią nie może.

Lecz i naodwrót: sztuka jest potrzebna religii, dopełnia ją niejako, jest również *formą służby Bożej*. Dostojną misją Hellady było stać na straży tej prawdy prostej, tylekroć zdradzanej poprzez wieki, że Bóg jest również najwyższym Pięknem i że istnieją grzechy przeciw Pięknu.

Na widok „pobożnych" bohomazów, panoszących się w naszych kościołach pewien artysta rzekł: „to odwet diabła." Niewątpliwie: jeśli Bóg *jest* najwyższym Pięknem, jeśli Dobro i Piękno *to Jedno*, wszelka brzydota godzi w Boga, jest przeciw Bogu.

Religia wiąże ziemię z niebem (*religare* — wiązać). Sztuka na ziemi tropi ślady Piękna, ślady Boże: *vestigia Creatoris*. Religia wypełnia się w ofierze: sztuka jest również formą kapłaństwa, choć bywa niekiedy i żertwą (ofiarą). Religia uświęca rzecz ofiarną („sacrum facere" — „sacrificium"), oddając ją Bogu — Sztuka odcyfrowuje symbole, zaklęte w każdym stworzeniu, i objawia człowiekowi to abecadło Boże. Sercem religii jest modlitwa, a sercem modlitwy milczenie. Procesem odwrotnym dzieło sztuki poczyna się w głębiach milczenia, jakżeż bliskich modlitwy, skąd artysta, śmiały nurek, trudem nieladajakim dobywa je na powierzchnię form, niby perłę bezcenną.

Piękno stworzenia poto jest, by chwalić Boga: artysta zamienia je w kantyk chwały, staje się mu głosem. Celem religii jest *złączyć* człowieka z Bogiem, przez miłość. Lecz czymżeż jest piękno, któremu zaślubiona jest sztuka, jak nie „*kształtem miłości*" i „*profilem Bożym*," „przez grzech straconym i mało gdzie, i w rzadkich jeno odczuwanym sumieniach?" (Promethidion). Po swojemu, sobie jeno znanymi drogami, Sztuka również do Boga wiedzie, do Boga, który jest Pięknem, za którym tęskni dlatego właśnie, że *jest Pięknem*. Nikt tak, jak Norwid, nie zrozumiał i nie wyczuł dostojnego posłannictwa Sztuki. Nie jest ona religią. Ani służbą religii. Posiada dostojną, królewską niezależność. Urzeczona Pięknem, zrękowiona Pięknu, szuka go poprzez kształty widzialne, w niewysłowionym uroku stworzenia, roztęskniona i nienasycona, aż po szczeblach symboli ku Temu się wzniesie, który jest prawzorem i źródłem wszelakiego Piękna.

„Albowiem Sztuka jest i będzie i nie może być nawet niczym innym, jenonową niewiastą złoto-włosą, ową świętą nierządnicą, która wylewając woń na stopy Zbawiciela świata, *ubłogosławiona jest w miłość*." (Norwid, Czarne i białe kwiaty).

PIOTR KMITA

*) Maurras (Le chemin du Paradis) wkłada te słowa w usta Polaka Jundziłła, ucznia i ulubieńca Augusta Comte'a, twórcy pozytywizmu.

Dr Józef JASNOWSKI

Oliver Cromwell a Polska

KAROL I, król Anglii i Szkocji, ujawniał od zarania swych rządów wyraźne skłonności do absolutyzmu, zmierzając najpierw do ukrócenia przewagi politycznej parlamentu, a następnie do zaprowadzenia takiego ustroju, który by dawał mu nieograniczoną władzę w polityce wewnętrznej. Na tym tle dochodziło do częstych zatargów pomiędzy monarchą a parlamentem; echa tych zatargów przedostawały się następnie do społeczeństwa, budząc coraz większą nieufność do króla.

Najwięcej jednak obawiano się jego —nieukrywanych zresztą — sympatii dla katolicyzmu, połączonych z filofrancuskim nastawieniem w polityce zagranicznej. Gdyby królowi udało się zrealizować swoje plany absolutystyczne — los protestantyzmu angielskiego byłby z góry przesądzony.

Te i tym podobne uprzedzenia doprowadziły w końcu do otwartej wojny domowej pomiędzy królem i jego zwolennikami a parlamentem, reprezentującym protestancką część społeczeństwa angielskiego i szkockiego. Ci ostatni, dzięki swemu genialnemu przywódcy w osobie Olivera Cromwella, zyskali całkowitą przewagę militarną i polityczną nad rojalistami. Wojska Karola zostały pobite, a on sam, schwytany i uwięziony, oddany został pod sąd, jako wróg swobód politycznych narodu angielskiego.

Po uwięzieniu króla stał się panem sytuacji w Anglii i Szkocji Cromwell.

Za nim był parlament i protestanci oraz większość społeczeństwa, niechętna zarówno katolicyzmowi, jak i profrancuskiej polityce, tradycyjnie uprawianej przez Stuartów. Rozumiał on jednak, iż tak długo, jak długo król znajduje się wśród żywych, sprawa, o którą parlament podjął zbrojną walkę, nie może być uważana za wygraną. To też gdy sąd, któremu polecono rozpatrzenie oskarżenia przeciwko Karolowi, zaczął się wahać, czy ma prawo i czy może osądzić monarchę, Cromwell nie omieszkał uciec się do pogróżek pod adresem sędziów, zmuszając ich tym samym do wydania wyroku śmierci na Karola.

Wyrokiem tego sądu został król ścięty, w dniu 30 stycznia 1649.

Była to już druga głowa z królewskiego rodu Stuartów, która spadła na szafocie podciosem angielskiego kata.

Mimo to Cromwell — dyktator nie czuł pewnego gruntu pod nogami. Prawda, że pozbył się Karola raz na zawsze; jego syn jednak zdołał zbiec do Francji, skąd rozwijał wrogą Cromwellowi akcję polityczną na dworach europejskich, pragnąc doprowadzić do ich zbrojnej interwencji, celem przywrócenia w Anglii dawnego porządku oraz tronu dla Stuartów. Interwencji tej Cromwell się nie obawiał; obawiał się jedynie, że po jego zgonie, wcześniej czy później, Stuartowie mogą powrócić do Anglii, a wówczas dzieło rewolucji purytańskiej, z którą tak bardzo był związany, i wszystkie jej osiągnięcia mogą być obalone, a los protestantyzmu przesądzony raz na zawsze.

Aby temu zapobiec, Cromwell postanowił zaprowadzić w Anglii taki ustrój, który by uniemożliwił powrót Stuartom. Rozważając w tym celu systemy polityczne, istniejące w ówczesnej Europie, zwrócił szczególną uwagę na *Polskę* oraz na przyjęty w jej ustroju system *elekcyjności tronu*.

Podobny system postanowił Cromwell zaprowadzić również i w Anglii. Odtąd zamiast króla, miał tam być wybierany dożywotnio protektor (oficjalny tytuł Cromwell'a), z tym, iż wybieranie go miało być zawsze dokonywane w „dynastii" Cromwellów, podobnie zresztą, jak to miało miejsce w Polsce, wobec panującej wówczas dynastii Wazów.

Tymczasem kraj, którego ustrój darzył Cromwell tak wielkim uznaniem, zajął bardzo niechętne wobec purytańskiej rewolucji stanowisko. Sejm Rzeczypospolitej poczytał ścięcie Karola, jako zwykłą zbrodnię królobójstwa, a Cromwell'a za królobójcę. Gdy syn Karola (również Karol) zwrócił się do Polski o pomoc — przyobiecano ją, (co zresztą pozostało na papierze) i zezwolono na zbieranie składek wśród zamieszkujących w Polsce Szkotów.

Gdy Cromwell dowiedział się o tym, ostygł nieco w entuzjaźmie dla Polski, nie zmieniając jednak w niczym planu zaprowadzenia w swym kraju podobnego ustroju.

Latem 1653 przybył do Anglii nie byle kto, bo sam podkanclerz Rzeczypospolitej, Hieronim Radziejowski.

Radziejowski żywił wówczas w sercu jedno tylko uczucie: nienawiść do króla Jana Kazimierza. Nienawiść ta pognała go najpierw do Szwecji, gdzie od lat już kultywowano tradycyjną nieprzyjaźń wobec Polski z powodu pretensji, jaką nasi Wazowie rościli sobie do Inflant i do tronu szweckiego. Tu, u boku królowej Krystyny szukał Radziejowski mścicieli swych urojonych krzywd, namawiając ją do zbrojnego wystąpienia przeciwko Polsce. Romantyczna królowa nie miała jednak w sobie wojow-

niczego usposobienia i poradziła Radziejewskiemu, by udał się do Anglii, zaopatrując go w list polecający oraz okręt, który dowiózł podkanclerzego do Londynu (w lipcu 1653).

Powodem pielgrzymki Radziejowskiego do Anglii była chęć osobistego zetknięcia się z Cromwellem, jedynym w ówczesnym świecie człowiekiem, któremu nie tylko, że udało się strącić z tronu króla, ale co ważniejsze, posłać go na szafot. — Móc uczynić to samo z Janem Kazimierzem — oto był cel najgłębszych pragnień Radziejowskiego; to też nie było takiej podłości, na którą by się nie ważył, byle tylko mógł cel ten osiągnąć. List królowej Krystyny ułatwił Radziejowskiemu dostęp do Cromwella, który przyjął go nadzwyczaj gościnnie i cierpliwie wysłuchał wszystkich jego żalów i skarg na Jana Kazimierza.

Do Londynu przybył Radziejowski z gotowym planem politycznym, dla którego pragnął sobie pozyskać również i Anglię. Zamierzał on udać się stąd do Turcji, do Konstantynopola, by skłonić sułtana do zaprzestania wojny z Wenecją i do zwrócenia wszystkich swoich sił przeciwko Polsce. Najazd ten miał, w pojęciu zdrajcy, wespół z kozakami i innymi nieprzyjaciółmi Rzeczypospolitej, których Radziejowski spodziewał się w międzyczasie pobudzić do walki, strącić z tronu Jana Kazimierza oraz zaprowadzić go na szafot.

O tych swoich planach Radziejowski rozpowiadał szeroko w Londynie, nie tając swego optymizmu w ich powodzenie oraz obiecując sobie pozyskać dla nich sułtana przekupstwem i podarkami.

Celem urobienia sobie przychylności Wenecji, Radziejowski nachodził w tym celu jej ambasadora w Londynie, wypytując go, jakie stanowisko zajmie w tej sprawie Doża i Signoria i czy pójdą na zgodę z Turcją. Ambasador, człek znający ludzi i polityczne arkana, okazał bardzo małe zainteresowanie dla tych fantastycznych planów b. polskiego podkanclerzego i bez entuzjazmu donosił o nich w listach do Doży i Senatu.

Cromwell wziął jednak bardziej na serio podkanclerskie fantasmagorie. Przedstawił Radziejowskiego swemu parlamentowi, a ten wyznaczył nawet specjalną komisję do traktowania z nim.

To, czego Radziejowski pragnął: by Anglia wystąpiła razem z Turcją do wojny przeciwko Polsce, nie udało mu się osiągnąć. Parlament nie widział powodu, by dopomóc Radziejowskiemu do strącenia z tronu jego króla. Podkanclerzemu udało się wytargować jedynie jeden okręt, który go z całym jego wielkim bagażem, z powozami i końmi, przewiózł do Francji. (Okręt ten nazywał się „Elizabeth"). W połowie sierpnia 1653 Radziejowski opuścił port londyński i pożeglował ku Francji.

II.

Pierwszy Polak, z którym zetknął się Cromwell, nie pozostawił po sobie najlepszego wrażenia. Mimo chwilowego dlań entuzjazmu, spowodowanego jedynie osobistą niechęcią dyktatora do Jana Kazimierza za popieranie Stuartów, protektor przekonał się wnet, iż podkanclerzy był zwykłym zdrajcą, który chciał swoje osobiste porachunki z królem załatwić przez pogrążenie kraju w odmęt śmiertelnej walki z odwiecznym wrogiem Chrześcijaństwa — Turcją. Ponadto — pomiędzy Cromwellem a Radziejowskim nie było żadnej spójni ideologicznej. Protektor podjął walkę z monarchią w imię zagrożonych swobód parlamentarnoustrojowych oraz w obronie nie mniej zagrożonego protestantyzmu i przeprowadził ją do zwycięskiego końca z głęboką wiarą w słuszność swoich ideałów. Radziejowski zaś wyzuty był z wszelkiej ideologii, poza manią chorobliwej nienawiści do swego króla.

Los rychło zetknął Cromwella ze sprawami Polski na znacznie szerszej płaszczyźnie niż dotychczas. W roku 1654 wybuchła wojna polsko-moskiewska, spowodowana układem zawartym w Perejasławiu pomiędzy Carem i Kozakami, na mocy której ci ostatni poddali się pod opiekę Moskwy.

Sielankowe stosunki, jakie panowały ongiś pomiędzy Moskwą a Londynem, zostały przerwane raptownie wraz ze ścięciem króla Karola I. Car poczytał to podniesienie ręki na pomazańca bożego (za którego też się uważał) za zbrodnię i dla okazania z tego powodu swego carskiego gniewu, kazał obić kijami kupców angielskich, przebywających dla interesu w Moskwie i wyrzucić ich ze swego państwa, a ich towary skonfiskować.

Cromwell zniósł tę zniewagę z purytańską skromnością i pokorą, co mu przyszło tym łatwiej, gdyż to nie jego plecy obito kijami; próbował nawet, po pewnym czasie... obietnicą przywilejów handlowych, ułagodzić carski gniew, ale bez powodzenia; mimo to kupcy angielscy dalej handlowali z Moskalami, docierając jednak tylko do Archangielska.

W Polsce wiedziano o nieprzyjaźni Cromwella i Cara; to też gdy wybuchła wojna polsko-moskiewska — Jan Kazimierz postanowił to wykorzystać i skłonić protektora do wypowiedzenia wojny Moskwie.

W marcu 1655 zjawił się w Londynie poseł polski z listem zaadresowanym *„Do naszego kochanego przyjaciela, Pana Olivera Cromwella, protektora Anglii,"* w którym Jan Kazimierz proponował, by Cromwell uczynił dywersję na Moskwę przez wysłanie floty angielskiej do Archangielska, zniszczenie tamtejszych urządzeń portowych, składów i odcięcie handlu moskiewskiego via północny Atlantyk.

Cromwell nie miał zamiaru angażować się w tak ryzykowne, a zarazem mało zyskowne przedsięwzięcie. Ponadto zapamiętał sobie dobrze stanowisko, jakie Polska zajęła po r. 1649 wobec niego i wobec Stuartów oraz to, co mu Radziejowski naopowiadał o Janie Kazimierzu; to też poseł polski otrzymał bardzo nieprzyjazną odprawę i powrócił z niczym do kraju.

Ta nieżyczliwość Cromwella wobec Polski ujawniła się szczególniej dla niej dotkliwie w okresie najazdu szweckiego.

Cromwell, ze względów ideologicznych, pozostawał w bardzo dobrych stosunkach z Karolem Gustawem, mimo iż przewaga Szwecji na Bałtyku godziła bardzo dotkliwie w interesy ekonomiczne Anglii i że kupcy angielscy, handlujący z Polską drogo zapłacili za przyjazne uczucia protektora wobec króla szweckiego.

Najazd Szwedów na Polskę oraz sprzymierzenie się elektora brandenburskiego z Gustawem Adolfem wywołał u Cromwella i purytanów uczucia niekłamanej radości, tak z powodu pognębienia jednego z sojuszników *„bestii apokaliptycznej,"* którą było, w pojęciu Cromwella i jego współwyznawców, katolickie cesarstwo Habsburgów, a Polska — według słów Cromwella — najtwardszym rogiem na głowie tej bestii. Skoro więc Karol Gustaw wziął się do utrącenia tego rogu — to czyż nie zasłużył na uczucia wdzięczności tych, którzy z tą bestią walczyli?

Te uczucia były u Cromwella, jako protestanta, szczere, ale jako Anglik myślał inaczej. Zawarł wprawdzie pakt przyjaźni ze Szwecją, ale go nie dotrzymał, a tymczasem Karolowi Gustawowi zaczęło się dziać coraz gorzej: bito go na wszystkich frontach, a zwłaszcza w Polsce. Błyskawiczne zwycięstwa zamieniły się na niemniej błyskawiczne klęski, a dawni sojusznicy (jak np. elektor brandenburski) w zapalczywych wrogów.

Będąc już na samym dnie klęski, Karol Gustaw przypomniał sobie, że ma jeszcze jednego przyjaciela, Olivera Cromwella, i zaczął go nalegać o pomoc, sugerując wysłanie floty angielskiej na Bałtyk i wypowiedzenie wojny Danii. Cromwell jednak nie kwapił się do popierania bankruta i zaofiarował jedynie pośrednictwo pokojowe, a gdy to zawiodło — stanął przed swoim parlamentem i wygłosił mowę, w której wyraził „głębokie współczucie" królowi szweckiemu z powodu jego klęsk i upadku...

DR JÓZEF JASNOWSKI

Boże Narodzenie
z Enrico Caruso
(Ze wspomnień włóczęgi)

Rzym w grudniu.

DZIAŁO się to pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, roku Pańskiego 1938, w Neapolu.

Wracałem wówczas do Rzymu z pięciotygodniowej wycieczki dziennikarskiej po Libii i Cerenaice, dokąd jeździłem da zaproszenie włoskiego rządu, dla poznania się z wielkim planem melioracji pustyni, zapoczątkowanym właśnie przez marszałka Balbo.

Wieczór wigilijny spędziłem w drodze z Bengasi do Neapolu, na pokładzie krążownika „Duca degli Abruzzi," w miłym towarzystwie wojskowego kapelana O. Genesio, pułkownika Cagna i okrętowego lekarza dra Piaggio. Pamiętam, jak siedząc na tylnym pokładzie gawędziliśmy o wigilijnych zwyczajach, polskich i włoskich, o pasterce i kolędach, o żłóbkach i „presepio," kończąc — oczywiście — na dziale gastronomicznym, tradycyjnym włoskim „cenone," naszej zupie migdałowej i faszerowanym szczupaku.

Z dala, niczym jarząca się choinka, przyświecał nam szczyt Etny, spływający lawą i coraz to bliższy. Krótko po północy przesunęliśmy się przez Mesyńską Cieśninę, zostawiając za sobą Scyllę i Charybdę, uśpione wybrzeża Sycylii i ognisty stożek drugiego wulkanu, Stromboli. Parę godzin później, o świcie 25 grudnia, witał już nas wspaniałym pióropuszem — Wezuwiusz.

Do Rzymu nie miałem po co śpieszyć, nikt mnie tam nie wyglądał, a nastrój świąteczny i wspaniała słoneczna, pogoda skłaniały raczej do pozostania w Neapolu. Na opóźnienie mego powrotu na rzymski „posterunek" mogłem sobie pozwolić tym łatwiej, że wszystkie korespondencje i reportaże z podróży wysłałem już dnia poprzedniego samolotem z Bengasi. Ale był jeszcze inny powód nadprogramowego postoju w Neapolu, dla mnie — zapalonego miłośnika muzyki i śpiewu — być może najważniejszy. Chciłem oto skorzystać ze sposobności, by wykonać oddawna powzięty i wciąż odkładany zamiar zwiedzenia dwóch nieznanych mi dotąd zabytków partenopejskiego grodu: grobowca Enrica Caruso i muzeum pamiątek po „królu śpiewaków i śpiewaku królów."

Szczęśliwy traf zrządził, że w tym samym czasie bawił w Neapolu syn zmarłego mistrza, Enrico Caruso junior, który nie tylko ułatwił mi dostęp do zamkniętej dla publiczności części prywatnego muzeum, ale nawet uprzejmie towarzyszył mi na cmentarz Poggioreale i do willi Gloria. Wątpię, czy bez pomocy młodego Carusa mógłbym w ogóle dostać się wokresie świątecznym do wnętrza willi-muzeum i skorzystać z wyjątkowych przywilejów, o których opowiem dalej. Widocznie sprzyjał mi św. Franciszek z Sales, patron dziennikarzy.

*

Poggioreale. Las mamurowych nagrobków łagodnie opada tarasami w dół, ku neapolitańskiej zatoce. W dali, jak okiem sięgnąć, bezbrzeżny lazur wód; w błękitnej mgle zacierają się zarysy Ischia i Capri, ginie linia horyzontu. Na wschód od zatoki, jakby zawieszony nad nią, puszy się dumnie rudawo-sina „pinia" Wezuwiusza; pod nią, w białej koronce fal, lśnią i migocą w słońcu wybrzeża Torre del Greco, Castellamare, Sorrento. Zmieniając znane powiedzenie „ujrzeć Neapol i umrzeć," chciałoby się prawie zawołać: *warto umrzeć, aby tutaj być pochowanym...*

Nie opodal głównego wejścia, otoczona strzelistymi cyprysami wznosi się kaplica Matki Boskiej Płaczącej, Madonna del Pianto — miejsce wiecznego snu Orfeusza XX wieku, Enrica Caruso. Wspaniały marmurowy sarkofag kryje w sobie trumnę ze szkła, w której złożono zabalsamowane ciało artysty. Kustosz chce podnieść masywne wieko. Wstrzymuję go: myślę, że byłaby to profanacja. Po chwili modlitwy i skupienia oglądam niszę i sarkofag, arcydzieła Beltrami'ego. Biało-żółtawy marmur odcina się od ciemnego tła barokowej kaplicy, wnosi do jej wnętrza nutę jaśniejszą, pogodnego spokoju. Napis na złotej płycie głosi: *„Per la sua voce fù l'incanto della terra; pel suo cuore fù degno del cielo"* — *swoim głosem zaczarował ziemię; dla swego serca stał się godny nieba.*



Orfeusz i Eurydyka

Dwa rysunki Stanisława Westwalewicza



Droga z piniami

Przez otwarte drzwi kaplicy wpadają promienie słońca, widać całą zatokę, od Portici, aż po Capri; w dole mieni się jasnymi barwami Neapol — ukochane miasto mistrza. „Papa sta bene qui” — wzdycha Enrico Caruso junior: Ojcu jest dobrze tutaj...

*

To nie jest śpiew. To nie jest głos człowieka. To jest cud, który w dziejach ludzkości może wydarzyć się tylko jeden raz. — Tak pisał o Caruso najsurowszy amerykański krytyk, Thomas Burke.

W istocie, kto raz słyszał Carusa, ten nie zapomni jego głosu nigdy.

Dzisiaj, w epoce różnego rodzaju namiastek i bluffów, nazbyt pochopnie nadaje się śpiewakom przyzwisko „drugi Caruso.” Lada krzykacz, lada purchawka, czy „chłopak z Sosnowca” zadziera nosa do góry i uważa siebie za „fenomen.” O publiczności i krytykach, którzy sławią podobne niedowarzenia i tandety możnaby powiedzieć, że przypominają twarze, które zagorzały od miesiąca... bo nie widziały słońca.

Piszący te słowa słyszał prawie wszystkich wielkich śpiewaków ubiegłego trzydziestolecia. Nie raz, lecz po kilka, lub nawet po kilkanaście razy. Począwszy od Anselmi'ego, Kruszelnickiej, Szaliapina, Battistini'ego, Didura, Ruffa i Bonci'ego, a kończąc na ostatnich mohikanach bel canta: Claudii Muzio, Giuseppe De Luca, Beniamino Gigli i Giacomo Lauri Volpi. Spośród tej wspaniałej, ale niestety wygasającej już plejady, trzy tylko wypadki zasługują — moim zdaniem — na nazwę fenomenów: Teodor Szaliapin, Salomea Kruszelnicka i Titta Ruffo.

Bo prawdziwy fenomen, to rzecz nie lada. W dziedzinie śpiewaczej, operowej i koncertowej, musi gromadzić w sobie następujące składniki: timbre głosu, jego siłę, szkołę głosu i skalę rozpiętości (t. zw. diapazon), dykcję, dynamikę dźwięku, słuch, temperament wokalny i sceniczny, muzykalność i zdolność muzycznego frazowania, oddech, grę sceniczną, mimikę i wreszcie odpowiednie warunki zewnętrzne. Połączmy te wszystkie czynniki, podnieśmy je do najwyższej potęgi i tylko wówczas otrzymamy w wyniku — fenomen. W przeszłości — jak wspominają wiarygodne kroniki i osoby w bardzo podeszłym wieku — takimi zjawiskami śpiewaczymi byli Rubini, Patti, Malibran, Cotogni, Tamagno i nasz Reszke, ale fenomenem pośród fenomenów był i będzie po wszystkie czasy tylko Enrico Caruso.

*

Urodzony w roku 1873, wychowany niemal w nędzy, jako *osiemnaste* dziecko (później przyszło ich jeszcze troje) małżonków Marcelego i Anny, mały „Carusiello” zaczyna swą karierę śpiewaczą w siódmym roku życia od „występów” a solo w parafialnym kościółku San Giovanello, na przedmieściu Neapolu.

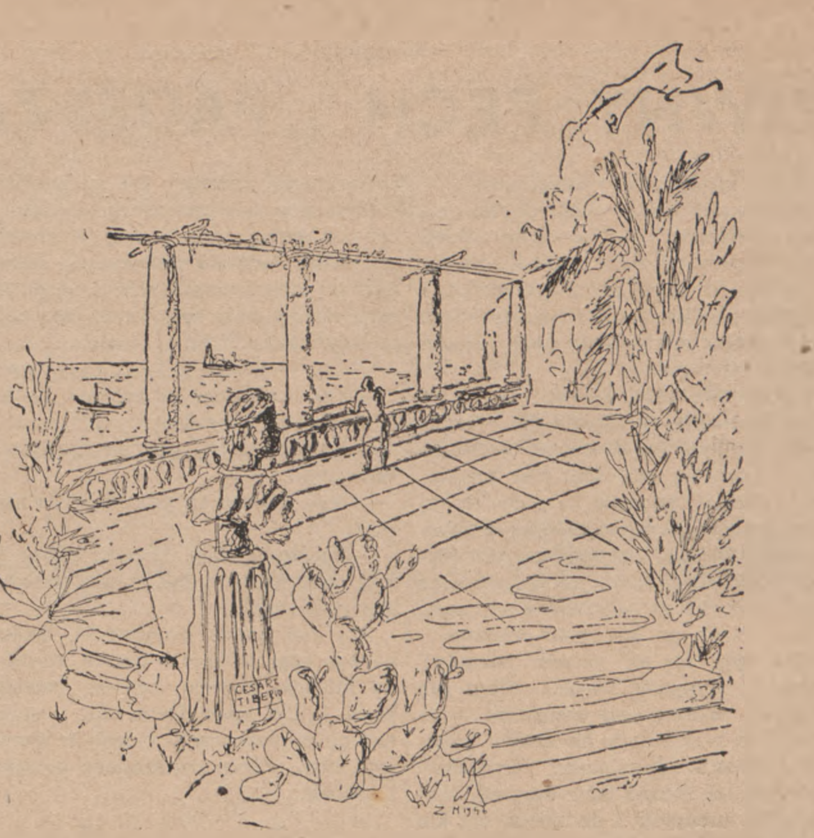
Śpiewał on wtedy, i aż do mutacji głosu, dźwięcznym, miękkim altem. W wieku 10 lat Carusiello wstępuje do fabryki Meuricoffre na naukę ślusarki, ale praca fabryczna nie przeszkadza mu uczęszczać do parafii na bezpłatne lekcje gregoriańskiego śpiewu i dopomagać rodzicom, zarabiając „koncertami” na wieczorynkach i ludowych festynach. Okres życia od 13 do 19 lat spędza młody Enrico jako śpiewak uliczny w Neapolu, równocześnie jednak zaczyna, za pomocą przyjaciół, produkować się w podmiejskich teatrzykach i uczyć się śpiewu u znanego wówczas maestra Guglielmo Vergine.

Powołany do wojska odbywa swą powinność w XIII pułku artylerii, w Rieti i tutaj, w przededniu rozpoczęcia poważnej kariery śpiewaczej, przeżywa pierwsze gorzkie rozczarowanie.

Pewnej niedzieli, ulegając namowom pułkowego kapelana, Caruso zaśpiewał w kościele słynną pieśń Stradelli „Pietà Signore,” wzbudzając zachwyt i zainteresowanie oficerów, a przede wszystkim zastępcy dowódcy pułku, majora Nagliati. Głos żołnierza wywarł na majorze tak silne wrażenie, że zamierzał on nawet kształcić Carusa na swój koszt, by zrobić zeń „przyzwoitego śpiewaka.” Ostateczne postanowienie w tym względzie zapaść miało po próbie głosu u słynnego profesora śpiewu, barona Costa.

Wynik próby był zupełnie nieoczekiwany. — W liście, doręczonym majorowi osobiście przez Carusa, maestro Costa napisał dosłownie: „non vale la pena spendere del denaro per farlo studiare” — szkoda pieniędzy na naukę! List ten, oprawiony w piękne ramki, oglądałem w jednym z salonów willi Gloria.

Drugim i ostatnim rozczarowaniem na drodze do nieśmiertelnej sławy było fiasco,



doznane przez Carusa w swoim rodzinnym mieście 30 grudnia 1901 roku. Wygwizdany w pierwszym akcie opery „l'Elisir d'amore,” śpiewak odczuł obrazę tak głęboko, że w obecności świadków przysiągł, iż nigdy w życiu nie zaśpiewa więcej w Neapolu. Na nic się zdały późniejsze błagania miejskiej rady, prośby i nalegania ludności: Caruso zasypywał Neapol hojnymi darami, budował szpitale i sierocińce, wznosił kościoły, ale słowa swego nie złamał.

Przysięga ta, złożona po przedstawieniu w trakcie spożywania potężnej porcji makaronu, przeszła do historii pod nazwą „il giuramento dei maccheroni...”

Po głodnych i chłodnych początkach przyszedł wreszcie dzień rewelacji: występ w mediolańskim teatrze Dal Verme, w operze Umberta Giordano „Fedora.” Arię „amor ti vieta” musiał debiutant powtórzyć sześć razy, gdyż inaczej publiczność groziła wdarciem się na scenę. Jak świat światem — pisał potem krytyk Achille Zedeschi — nie słyszano podobnego głosu. Miarą sukcesu może być niebywały w dziejach teatru fakt, że po przedstawieniu impresario artysty podwyższył mu samorzutnie gażę z 400 lirów miesięcznie, na dwa tysiące lirów za występ. Droga została przebita.

Odtąd Caruso, rozrywany przez największe teatry świata, przechodzi od triumfu do triumfu, a postać jego i sława zaczynają nabierać, jeszcze za życia śpiewaka, charakteru i blasku legendy. Ale równolegle ze sławą rośnie w nim także poczucie odpowiedzialności za poziom swojej sztuki wobec samego siebie i wobec słuchaczy; rośnie jakaś żywiołowa siła, unosząca go ku wyżynom przez nikogo dotąd nie osiągniętym. Dalsze życie Carusa poświęcone jest nieustannemu, wszechstronnemu doskonaleniu talentu i pogłębianiu ogólnej kultury. Jego postacie sceniczne stają się z każdym występem żywsze i wyrazistsze, a głos nabiera coraz cudowniejszej barwy.

Mistrzostwem swym Caruso wprowadził do włoskiej szkoły śpiewu wielką innowację: prostotę i odruchowość. Dotychczas bowiem sztuka „bel canta” polegała głównie na skomplikowanej „matematyce śpiewu,” która tylko pozornie robiła wrażenie naturalności, w istocie jednak była zimną kalkulacją, obliczoną na tanie, powierzchowne efekty. Poprzednicy wielkiego Neapolitańczyka śpiewali przeważnie „procentami” — pierwszy Caruso zaczął dawać „kapitał i serce.” Mógł on sobie na to pozwolić. Ale wielu spośród jego późniejszych naśladowców, nie posiadających ani odpowiedniego kapitału głosowego, ani — przede wszystkim — odpowiedniej szkoły, przypłaciło próby naśladowania karuzowskiego stylu całkowitą, lub czasową utratą głosu.

Jak twierdził dyrektor opery Metropolitan w New Yorku, p. Gatti Casazza, Caruso był w rzeczywistości „najtańszym śpiewakiem,” gdyż — mimo dziesięciokrotnie podwyższonych cen biletów w dniu jego występu — teatr był zawsze brany szturmem. Honoraria artysty wynosiły, przed pierwszą wojną światową, 10 tysięcy dolarów za występ. Późniejsze umowy były podpisywane przez dyrekcję teatrów in blanco. Przyznać trzeba, że Caruso nie tylko nigdy nie nadużył tego zaufania, ale przeciwnie — niejednokrotnie wypisywał cyfrę niższą od przewidywanej. Repertuar mistrza obejmował 64 opery (z których każda śpiewana w języku oryginalnym), kilkanaście oratoriów i ponad 400 pieśni. Za płyty gramofonowe, naśpiewane w Ameryce, otrzymał Caruso dwa miliony dolarów, a spadkobiercy jego mają do dziś dnia zapewniony roczny dochód w wysokości przeciętnie około 200 tysięcy dolarów. Mimo rozrzutnego trybu życia i olbrzymich sum, wydawanych stale na cele dobroczynne, majątek pozostawiony przez Carusa sięgał, w roku 1921, 50 milionów dolarów.

Ostatni występ „boskiego mistrza” odbył się w teatrze Metropolitan w New Yorku, 24 grudnia 1920 roku, w wigilię Bożego Narodzenia. Caruso grał rolę Eleazara w „Żydówce” Halevy'ego. Podczas trzeciego aktu artysta niespodziewanie zasłabł na scenie i tylko dzięki żelaznej sile woli i doskonałej władzy nad oddechem dośpiewał operę do końca. Przewieziony do domu i leczony przez najsławniejszych amerykańskich lekarzy, na czele z prof. Murray, osobistym lekarzem prezydenta Teodora Roosevelta, śpiewak zwolna powracał do zdrowia, ale co pewien czas ulegał jakimś dziwnym zasłabnięciom, podczas których odczuwał brak tchu i ból w boku. Według orzeczenia prof. Murray miał to być pleuryt, ale kuracja prowadzona w tym kierunku nie dawała pożądanych wyników. Przeczuwając bliską śmierć Caruso zapragnął jeszcze raz ujrzeć swe rodzinne strony, być może w nadziei, że łagodny klimat neapolitański okaże się skuteczniejszy od amerykańskich lekarzy. Wkrótce jednak po przybyciu do Neapolu nastąpiło gwałtowne pogorszenie. Wezwani z Rzymu chirurdzy, profesorzy Giuseppe i Raffaele Bastianelli, mogli już tylko stwierdzić ogólne zakażenie krwi spowodowane pęknięciem wrzodu na brzusznej przeponie. Dnia 2 sierpnia 1921 roku prasa całego świata doniosła: w Neapolu zmarł Enrico Caruso, przeżywszy lat 48.

Ciekawe i mniej znane szczegóły z życia „Króla śpiewaków” opowiada jego najstarszy syn, Enrico. Zaprzecza on przede wszystkim wiadomościom jakoby Caruso miał wydziedziczyć swoich synów, Enrico i Rodolfa, na korzyść córki z drugiego małżeństwa, Glorii. „Wprawdzie ojciec ustanowił Glorię główną spadkobierczynią — mówi Enrico,— ale i o nas nie zapomniał. Był on zbyt dobry by kogoś skrzywdzić.”

Caruso nie odmawiał nikomu pomocy, przeciwnie — uważał za swój obowiązek pomagać wszystkim, którzy się doń zwracali, a często szukał sam okazji do wyświadczenia przysług i dobrodziejstw. Kiedy impresario i przyjaciele wypominali mu rozrzutność, Caruso odpowiadał: „Nie mogę postępować inaczej! Gdy słucham skarg i narzekań potrzebujących, przypominają mi się nędzne pokoiki naszego mieszkania w Neapolu, widzę stroskane twarze ukochanej matki mej, ojca i rodzeństwa”.

O uczynności Carusa w stosunku do kolegów krążą w kołach teatralnych jeszcze dzisiaj legendy i anegdoty. Wynika z nich, że szczególnymi względami mistrza cieszyli się młodzi adepci sztuki wokalnej, a zwłaszcza tenorzy. Mało znany jest n.p. wypadek, że Caruso uzależnił przyjęcie engagement do Metropolitan Hause w New Yorku od podwyższenia gaży trzem młodym śpiewakom, występującym w tym teatrze. Poparcia swego udzielał jednak Caruso jednostkom rzeczywiście wybitnie uzdolnionym, innym zaś doradzał zmianę zawodu, nie szczędząc przy tym pożyczek i zapomóg na rozpoczęcie nowego życia. To też nie jeden dzielny lekarz, czy inżycier zawdzięcza genialnemu śpiewakowi, że dziś nie jest wykolejeńcem.

Koleżeńska solidarność Carusa stała się pewnego razu powodem zabawnego zajścia w Metropolitan House. Oto podczas przedstawienia opery „Pajace,” w której rolę Cania grał Caruso, zachorował nagle w drugim akcie tenor Trebbi, występujący w partii Arlekina. Jak wiadomo najtrudniejszym momentem tej roli jest popularna serenada, którą zakochany Arlekin śpiewa za sceną, pod oknem Kolombiny. Słysząc o niedyspozycji kolegi, Caruso zaproponował, że zaśpiewa za niego serenadę, nie zawiadamiając dyrygenta.

Tak się stało.

Potężnym głosem zaintonował mistrz Enrico pierwszą strofkę „O Kolombino twój Arlekin...”; w drugiej strofce połączył kilka zdań słynnymi karuzowskimi „portamentami” i zakończył serenadę wspaniałym crescendo na ostatnim „la.” Lecz... o dziwo! Publiczność nie odpowiedziała na to ani jednym oklaskiem. Po przedstawieniu natomiast oburzony dyrygent wpadł do garderoby tenora Trebbi i zwymyślał go za okazany brak muzykalności i nieudolne małpowanie Carusa!

Epizod ten, opisany nazajutrz przez całą prasę, przeszedł do historii teatru Metropolitan House, jako dowód „muzykalności” amerykańskich melomanów i „nieomylności” wielkich dyrygentów.

Dwadzieścia siedem lat mija od śmierci Carusa, a sława jego nie tylko nie zbladła, lecz zdaje się jaśnieć coraz silniej w miarę, gdy izewsząd mnożą się głosy o upadku sztuk śpiewaczej i opery. Tysiące osób wspominają występy Caruso, jako chwilę najwznioślejszych wrażeń i wzruszeń; miliony przeżywają te wrażenia dzisiaj, słuchając z płyt głosu największego śpiewaka świata. Caruso żyje wśród Włochów, a imię jego jest nierozerwalnie związane z historią najwspanialszej na świecie sztuki — sztuki włoskiej.

W willi Gloria, pośród tysiąca pamiątek z rozmaitych okresów życia śpiewaka, przeżyłem najsilniejsze wrażenie dnia, słuchając czterech płyt Carusa, granych tylko w wypadkach wyjątkowych. Były to prawdziwe „białe kruki” gramofonowe: „Cielo e mar” z Giocondy Ponchielli'ego (pierwsze nagranie, pierwsza odbitka, rok 1906); „Lamento di Federico” z Arlesiany muz. Cilea; „Dispar vision” z Manon, muz. Massenet'a (pierwsze nagranie, pierwsza odbitka, rok 1912); wreszcie słynne „Amor ti vieta” (pierwsza odbitka, pierwsze nagranie z roku 1908). Świetny stan płyt, *jedynych dziś na świecie pierwszych odbitek głosu Carusa*, doskonały radio-patefon oraz ścisłe uregulowanie obrotów według strojowych widełek — sprawiły, że usłyszałem głos zmarłego mistrza, taki, jakim był głos żywy, który wstrząsnął mną podczas pamiętnej „Cyganerii” w Wiedniu, w 1913 roku. Słuchając tych cudownych dźwięków zrozumiałem największą tajemnicę Carusa: *tak śpiewać mógł tylko* człowiek o wielkim sercu!

„W jednym z ostatnich listów do mnie — kończy Enrico junior — ojciec pisał m. in.: serce moje bije razem z milionami innych serc. Chciałbym, by pamięć o nim przetrwała sławę artysty. Inaczej uważałbym życie moje za zmarnowane.”

*

W sanktuarium pompejańskim, po lewej stronie cudownego obrazu Matki Boskiej, widać w półcieniu gigantyczną świecę: sześć metrów wysokości, pół metra objętości, pięćset kilogramów wosku. Ufundowały ją ze swych oszczędności dzieci z pewnego sierocińca w New Yorku. Wyryty w żółtym wosku widnieje napis: *„Alla memoria di Enrico Caruso, nostro benefattore italiano adorato” — poświęcamy pamięci Enrica Caruso, naszego ukochanego włoskiego dobroczyńcy. Pod napisem — imiona stu kilkudziesięciu sierot.* Świeca ta jest zapalana co roku, w dzień Wszystkich Świętych, na jedną dobę: ktoś obliczył, że w ten sposób wypali się do końca — w roku 6948.

*

Wspomnienia sprzed dziewięciu lat. Noc wiligijna na pokładzie krążownika w podróży między trzema wulkanami. Dwa dni świąt, spędzone jakby w obcowaniu z cieniem zmarłego „maga tonów,” w towarzystwie jego żyjącego syna i jednoimiennika. Doprawdy, w moim życiu były to najniezwyklejsze święta Bożego Narodzenia.

L.

Jan CZAHARSKI

Zdarzenie

PRZEDZIWNY PECH „PADESZANSA"

PIĘKNIE ilustrowane wydawnictwo pod tytułem „Zamki Saksonii" podkreśla walory położenia i architektury zamku w Colditz, zaznaczając jednak, że jest on „nieurządzony." Nic dziwnego, skoro ten okazały, budowany ponoć przez Wettynów zabytek w nowszych czasach miewał mało zgodne ze swym pierwotnym przeznaczenie. Mieścił się w nim bowiem przez jakiś czas zakład dla umysłowo chorych, a później obóz dla niemieckich komunistów, których zluzowali czescy oficerowie, aż przyszła kolej na polskich jeńców z kampanii wrześniowej 1939. Potem kolejno byli w tym obozie oficerowie francuscy i belgijscy, aż w końcu urządzono tam międzynarodowy obóz specjalny, czyli „Sonderlager." Od tej chwili pensjonariuszami tego zakładu byli równocześnie Polacy, Francuzi, Anglicy, Belgowie, a potem Holendrzy i Jugosłowianie. Nosił on nazwę Oflag IV C.

Przywożono tu przede wszystkim za próby ucieczki oraz za wszelkiego rodzaju „politykę," „podżeganie" i „wrogie nastawienie do Niemiec." Gromadzenie w jednym miejscu najwytrawniejszych ucieczkowiczów różnych narodowości, które walczyły z Niemcami, miało ten skutek, że obóz taki stawał się z czasem prawdziwą akademią ucieczkową i centralą wymiany doświadczeń, które potem rozmaitymi drogami docierały do innych obozów. W samym zaś obozie atmosfera ciągłego przygotowywania się do ucieczki i snucia ich planów stawała się tak zaraźliwa, że nawet ludzie na ogół mało przedsiębiorczy zaczynali rozmyślać o możliwościach wydostania się z dobrze strzeżonego zamku.

Niemałą podnietą do takich zamiarów była też panująca w zamku ciasnota, gdyż musiał on pomieścić ponad 600 ludzi, którzy w pogodne dni cały czas spędzali na niewielkim dziedzińcu, zamkniętym ze wszystkich stron wysokimi na cztery piętra ścianami. Spacery do zamkowego parku odbywały się przeważnie raz dziennie i tylko na półtorej godziny, lecz długa ceremonia liczenia przed wyjściem i po powrocie oraz konieczność spacerowania pod okiem posterunków rozstawionych w ogrodzie z karabinami na „gotuj broń" zniechęcały wielu amatorów owych przechadzek. To też w ciepłe dni na zalanym słońcem dziedzińcu zamkowym, na „kocich łbach" bruku rozkładali się tłumnie na kocach zwolennicy słonecznych kąpieli, wiodąc nieskończone rozhowory na aktualne wojenne tematy lub snując dawne wspomnienia.

W jeden z takich dni, późnym latem 1941 r., szukałem właśnie wolnego miejsca na owym dziedzińcu, gdy nagle usłyszałem zaproszenie skierowane do mnie po francusku. Zażywny jegomość w czarnych okularach wskazywał mi miejsce obok siebie pod ścianą. Podziękowałem i siadając obok niego wymieniłem swe nazwisko. Usłyszałem nazwisko zaczynające się od „Bul..." „Bułeczka" pomyślałem patrząc na pulchnego Francuza i uścisnąłem podaną mi dłoń. Po chwili obaj leżeliśmy grzejąc się w milczeniu na słońcu.

Nie byłby Francuzem, gdyby nie zaczął rozmowy ze mną od komplementów pod adresem Polaków. Ponieważ powtórzył parę razy „ces pauvres Polonais," zapytałem go, w jakich warunkach się z nimi zetknął. Okazało się, że był w obozie jenieckim pod Poznaniem i tam nawiązał kontakt z polskimi robotnikami, którzy przychodzili na pracę do obozu. Namawiali go do ucieczki, obiecując pomoc, ale wahał się wiedząc, że w razie odkrycia czeka ich pewna śmierć. Szczerze podziwiał postawę tych ludzi, którzy niezachwianie wierzyli w zwycięstwo aliantów i czekali, kiedy niemiecki okupant zostanie wypędzony. Dla jeńców francuskich byli bardzo życzliwi i pomagali jak mogli, narażając nieraz nie tylko siebie, ale i swe rodziny. Przy ich pomocy wpłynęło do obozu wiele ubrań cywilnych, które stanowiły połowę powodzenia w ucieczkach.

— Ale pewnego dnia — kończył swe opowiadanie „Bułeczka" — w czasie jakiejś rewizji znaleziono u mnie spodnie cywilne mego kolegi, u niego znów marynarkę, i cały garnitur, to jest nas obu, wsadzono do aresztu a potem przywieziono tutaj. Jestem tu dopiero od tygodnia.

— Trzeba było lepiej schować!

— Nie miał chłop szczęścia i tyle — upierał się — il n'avait *pas de chance*. W takich sprawach ogromną rolę gra owa przysłowiona „odrobina szczęścia." Gdy się jej nie ma, zawodzą nieraz najbardziej drobiazgowe przygotowania i najśmielsze przewidywania. Wiem o tym dobrze z mego własnego doświadczenia, bo ja też dziwnie nie mam szczęścia. Niech no pan tylko posłucha:

Właśnie gdy mi się zaczęło powodzić, wybuchła ta idiotyczna wojna. Niech pan nie sądzi — zastrzegał się energicznie — że należałem do tych, którzy nie chcieli „umierać za Gdańsk." Bynajmniej! Uważałem, że skoro się raz zaczęło bić z Boszami, trzeba to robić sumiennie i do końca, ale kto mógł przewidywać, że się to wszystko tak prędko i tak tragicznie skończy!

Ja z moją kompanią musiałem trafić właśnie pod Dunkierkę na „historyczny moment." Osłanialiśmy odwrót Anglików. Muszę przyznać, że im się to w owych warunkach wspaniale udało. Niemieckie lotnictwo prało ile wlezie z góry, a my, jak długo się dało, trzymaliśmy Niemców w potrzebnej odległości. No i w końcu Anglicy i część naszych popłynęli na Wyspę, a my poszliśmy do niewoli.

Gdy tylu mych kolegów poszło spokojnie do domu, zrzuciwszy pośpiesznie mundury, mój pech sprawił, że ja poszedłem do niewoli i do obozu. Pas de chance, pas de chance, mon cher, pas de chance...

— Bad luck! — doleciało nas, jak echo, od grupy grającej w siatkówkę żołnierzy różnych narodowości, wśród których swym skowrończym głosem przewodził Brytyjczyk, John, ucząc ich w razie niepowodzenia spychać winę na kulawe szczęście.

— Bydlak! — z przekonaniem potwierdzili Polacy pod adresem sportowego pecha.

„Bułeczka" uniósł się z przejęcia, oparł się na łokciu i kierując na mnie ciemne plamy swych okularów, niespodziewanie skonstatował:

— Ja się do tej niewoli całkiem nie nadaję...

— A kto się nadaje?!

— Zapewne nikt, bo każdy nade wszystko ceni wolność. Ale w moich warunkach... Niech no pan weźmie pod uwagę moje warunki. Jestem żonaty, mam sporą gromadkę nieletnich dzieci, mam własne przedsiębiorstwo zatrudniające wielu pracowników, wyrobione stosunki handlowe, odbiorców, klientelę. Kto się tym wszystkim teraz zajmie, kto tym pokieruje?! Kiedy pomyślę, że tam u nas teraz gospodarują po swojemu te wstrętne szwaby, że nas okradają na każdym kroku — a ja tu siedzę bezczynny i nie mogę na to nic poradzić, wszyscy diabli mnie biorą.

Z rodziną nie mogę się swobodnie porozumieć, bo sama świadomość, że moje listy do żony będzie ktoś czytał i cenzurował — odbiera mi ochotę do pisania. Trwam tu, nudzę się straszliwie, muszę znosić towarzystwo nieraz nieznośnych ludzi, i jeść te niemieckie paskudztwa. Tous les jours rutabaga et rutabaga! Czy pan słyszał, aby ludzie jedli brukiew? Albo źle ugotowaną marchew na odmianę. Mam tego już najzupełniej dość, a tu wojna zapowiada się na lata. A wszystkiemu winien ten mój osobliwy pech. Pas de chance... — westchnął i opadł na koc.

Nie przeszkadzałem mu w tym nagłym wylewie goryczy; nie on jeden bowiem tak ciężko znosił niewolę. Był może nieco zabawny w swych pretensjach do losu, lecz szczerze sympatyczny w swej szczerości, był po prostu ludzki i autentycznie francuski. Gdy po jakimś czasie zabierał się do odejścia i składał swój koc, wzrok jego padł na sandały, które miałem na nogach.

— Czy to jeszcze z Polski? — zapytał.

— Tak, zabrałem je zamiast pantofli i bardzo mi się tu przydają.

— Bardzo ładne wykonanie, pewnie z Warszawy?

— Nie, robione na prowincji, ale zgrabny fason.

— Bardzo zgrabny. Pewnie byłyby dobre i na mnie, ja mam, jak na mój wzrost, bardzo małe stopy.

Aby mu zrobić przyjemność, spojrzałem na jego nogi, tkwiące w butach wojskowych, na których widniało zapewne pamiątkowe błoto jeszcze spod Dunkierki, i utwierdziłem go w przekonaniu o małych wymiarach jego stóp. Nieco roztargniony pożegnał się i odszedł.

* * *

W kilka dni potem, któryś z mych przyjaciół, stojąc ze mną przy oknie, nagle zauważył:

— „Padeszans" dostał chyba bzika!

— Kto?

— „Padeszans." Tego Francuza, tam drepce po dziedzińcu, nazwaliśmy w naszej sali „Padeszansem," bo każde swe opowiadanie zaczyna i kończy zapewnieniem o swym wyjątkowym pechu i każdą rozmowę szpikuje ciągłym „*pas de chance*." I co najciekawsze, nazwali go tak koledzy, którzy nie umieją po francusku i którym ten zwrot wpadł w ucho. Przychodzi do nas bardzo często, chce się nawet nauczyć po polsku i w ogóle wygląda na „swojego chłopa," ale od jakiegoś czasu, gdy nikogo nie ma na naszym podwórku, wychodzi na nie i urządza jakieś tajemnicze ćwiczenia. Popatrz no tylko, jak on chodzi!

Na prawie pustym o tej porze dziedzińcu zamkowym przechadzał się statecznie „Bułaczka." Ściskając kolana, stawiał małe kroczki, łokcie przyciskał do tułowia i pocieszenie kryguiąc się, wykonywał prawie łabędzie ruchy swą nieco krótkawą szyją. Oczy trzymał spuszczone w dół i zdawał się w ogóle nie wiedzieć, co się wokół niego działo.

Od tej pory zacząłem dyskretnie obserwować „Padeszansa." Odbywał dość regularnie swe spacery po dziedzińcu, ale zupełnie zdawała go się pochłaniać praca w garderobie francuskiego teatru obozowego. Tam zasłynął jako gorliwy pomocnik kapitana, kostiumologa jednego z teatrów paryskich, twórcy wielu arcydzieł scenicznych z miętej bibułki i wspaniałych peruk z rozplatanych sznurków. Czasem spotykaliśmy się w parku, gdzie gwarzyliśmy o swych kłopotach i nadziejach.

Któregoś dnia, przed rannym apelem, wpadł do mnie jeden z polskich kolegów. Z obowiązującą w takich razach tajemniczą miną powiedział mi, że pewien Francuz, który widział moje sandały, bardzo mnie prosi. by mu je odstąpić, „dla wiadomego celu." Wzamian daje piękne brązowe półbuciki tych samych wymiarów.

Ale niestety moje sandały już od paru dni jechały w paczce do kraju, wysłane na użytek rodziny.

Gdy razem z owym kolegą wyszliśmy na apel, na dziedzińcu, we francuskiej kompanii, panowała wielka wrzawa. Urządzano owację jednemu z oficerów, bo w tym dniu ukazał się bez swej wspaniałej jasnej brody, którą zapuścił na znak smutku od chwili dostania się do niewoli. Był to młody Żyd, student filozofii, który wśród wierzących współwyznawców pełnił funkcje rabina, zbierając ich na wspólne modlitwy i referaty religijne. Ogolonego brodacza koledzy powitali zbiorowym wyciem, a pojedyńcze okrzyki zapytywały go, jak się czuje, czy mu nie zimno i czy nie cierpi na zachwianie równowagi po utracie tak wspaniałej ozdoby. W monotonii życia obozowego każda okazja do wesołości była dobra.

* * *

Lato było bardzo pogodne i spacery do parku cieszyły się wielką frekwencją. Pomimo to pewnego dnia przyszło dyskretne wezwanie:

—Dziś jak najwięcej ludzi do parku!

Wiedzieliśmy, co to znaczyło. Trzeba było utrudnić Niemcom liczenie, a raczej ułatwić pomyłkę, by ktoś mógł z parku nie wrócić. Ukrycie nieobecnego w czasie apeli opierało się na innych znów metodach i zbieg miał parę dni czasu, zanim odkryto jego ucieczkę, uruchomiono pogoń i rozesłano rysopis.

Zgodnie z wezwaniem na zbiórce przed spacerem zjawiło się mnóstwo ludzi. Dyżurny oficer niemiecki był trochę zdziwiony taką ilością amatorów spaceru, ale wytłumaczono mu, że upał w zamku i że Anglicy mają dziś rozgrywkę w piłkę nożną. Ponieważ ubrani do gry oficerowie angielscy dołączali wciąż do końca kolumny, liczenie powtarzano, aż zniecierpliwiony Niemiec kazał wszystkich wyprowadzić za bramę dziedzińca pod wartownię i tam zaczęto nas liczyć jeszcze raz.

Lecz co raz spoza bramy doprowadzano jakiegoś zapóźnionego gracza, który zapewniał, że bez niego gra się nie obejdzie... Liczenie w tym dniu mogło zniechęcić nawet najcierpliwszych. Niemcy, którym opiekujący się Anglikami konsul amerykański wciąż robił wyrzuty, że nie dają jeńcom placu do gry w piłkę, znosili w milczeniu to przeciąganie liczenia, gdyż czas na nie stracony wliczali do spaceru. Anglicy zaś, którzy z okien zamku mogli podziwiać wspaniały stadion miejski nad rzeką, musieli uprawiać swój sport narodowy w ciasnym, ogrodzonym palisadą „cielętniku," gdzie mogli grać tylko do jednej bramki, którą stanowiło szerokie wejście do stojącej tam altany. Ponieważ na tym „boisku sportowym" rosły ponadto rzadkie drzewa, piłka odbijała się zarówno od ogrodzenia, jak i od drzew, a reguły tej niezwykłej gry były kombinacją zasad obowiązujących w football'u i w bilardzie zarazem.

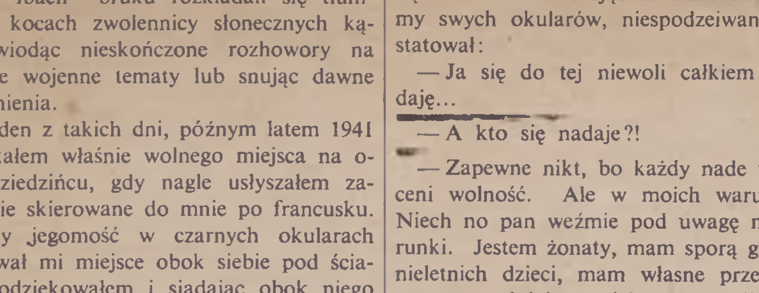
Narazie jednak gracze wraz ze swą publicznością stali przed wartownią ustawieni w przepisowe do liczenia i przemarszu piątki. Stroje, ze względu na upały, były bardzo lekkie i nieraz dość fantastyczne. Niektórzy nieśli ze sobą koce a nawet kraciate poduszki wojskowe, prawie wszyscy mieli przeciwsłoneczne okulary. Wśród obecnych górował wzrostem olbrzymi oficer holenderski z długą siwiejącą, patriarchalną brodą, odziany w sięgającą ziemi jasną pelerynę. Mało kto wiedział, że pod peleryną (i pod brodą) stoi na stopach olbrzyma misterny polski podporucznik Edzio, który przy powrotnym liczeniu wejdzie na miejsce uciekiniera.

Stałem wtedy jako czwarty w rzędzie i czekając na ruszenie z miejsca rozglądałem się po najbliższym otoczeniu, starając się domyśleć, kto dziś zamierza opuścić zamkowy „pensjonat." Na prawo wskos od siebie zobaczyłem parę małych półbucików z czerwonawej skóry. Tkwiły w nich nieco zbyt okrągłe, lecz zgrabne stopy, obciągnięte jedwabnymi jasnymi pończochami i wyglądające na mocno opalone. Dalej — przejście nieco niespodziewane: Nad pończochami bowiem widniały białe, delikatnie mówiąc, „szorty" z odpowiednio adaptowanej męskiej bielizny, a nad nimi zaczynała się bardzo obszerna bluza wojskowa, nieokreślonej bliżej armii i bez żadnych odznak. W szerokim kołnierzu bluzy tonęła głowa nakryta wielką, polską, rogatą polówką, naciągniętą na zakryte czarnymi okularami oczy.

Poznałem „Padeszansa" i domyśliłem się, że alarm parkowy był na jego benefis.

Stał prawie nieruchomo, widocznie w sobie skupiony. Spod cienia rzucanego przez daszek czapy widać było jego różowy starannie ogolony policzek, który lekko drgał. Przed sobą Francuz trzymał wielki, szary, w kilkoro złożony koc. Sąsiedzi jego — stał jako trzeci w samym środku piątki — zachowywali się dość hałaśliwie i kręcili się, szczególnie wtedy, gdy z przodu lub z tyłu kolumny przechodził liczący nas niemiecki podoficer.

Nareszcie ustalono ilość obecnych, oficer dyżurny odebrał meldunek, Edzio zgrabnie wychynął spod holenderskiej peleryny i kolumna ruszyła w stronę parku. Aby tam dotrzeć, trzeba było spod wartowni wyjść na pierwsze wejściowe podwórze zamku. Z niego jedna brama na wprost prowadziła do miasteczka Colditz, którego domy zaczynały się tuż za nią. Bezpośrednio przed bramą było z dziedzińca wejście do komendy naszego obozu. Przed wejściem stał zawsze posterunek i zdobiła je malowana w pasy



Do artykułu na str. 10-11

Cztery autokarykatury Carusa— na rachunkach hotelowych...

budka wartownicza. Na lewo druga brama prowadziła do ogrodów zamkowych i do parku. Była to długa, sklepiona i mroczna sień, zastawiona narzędziami rolniczymi i starymi wozami.

Ponieważ przy drodze do parku poza murami zamku stał dom dla żonatych podoficerów, często spotykaliśmy kobiety i dzieci niemieckie. Gdy spotkanie z niewiastą wypadło w bramie, idący za kolumną podoficer zapraszał ją do szybkiego wyjścia na drugą stronę sieni, gdyż, jego zdaniem, dla siedzących już dwa lata w niewoli oficerów takie spotkanie stanowiło zbyt wielką atrakcję. Przecież każdy z nas musiał uroczyście, własnym podpisem, stwierdzić bez względu na wiek, stan cywilny, a nawet godność duchowną, że pod konsekwencjami kary śmierci będzie się wystrzegał bliższych znajomości z niemieckimi kobietami.

Wartownicy nasi szli zwykle tylko z lewej strony kolumny, by w razie konieczności strzelania nie ranić kogoś ze swoich.

Minęliśmy więc dziedziniec przed komendą i weszliśmy w ową ciemnawą sień. Gdy „Padeszans'' znalazł się w jej najciemniejszym punkcie, na czele i na końcu kolumny zaczęły się jakieś śmiechy i hałasy, które odwróciły uwagę wartowników. Wtedy ktoś szybko wziął od „Padeszansa'' jego koc, jeden sąsiad wprawnym ruchem zdarł z niego wielką bluzę, spod której ukazał się damski żakiet w popielatą „pepitkę,'' lamowany czarną wstążaczką; drugi sąsiad opuścił zawiniętą do góry spódniczkę kostiumową. W wycięciu żakietu widniała biała bluzeczka z kokieteryjnym żabocikiem. Z koca wydobyto wielki kapelusz damski z czarnej koronki z przyczepionymi doń gotowymi blond loczkami. Nałożony sprawnym ruchem przez paryskiego specjalistę teatralnego wraz z wetkniętymi do rąk oszołomionego „Padeszansa'' czarnymi rękawiczkami i elegancką modną lakierowaną torebką wykańczał całość wcale przekonywującą.

Fertyczną „Niemeczkę,'' zaróżowioną z wrażenia, wypchnięto poza kolumnę, a gdy Francuzi zaczęli na jej temat robić zbyt głośne uwagi, zauważył ją idący za kolumną podoficer niemiecki i uprzejmie poprosił, by wyszła na dziedziniec wiodacy do miasta. Z zakłopotaną miną i ze spuszczonymi oczami, siejący na wszystkie strony urokiem „Padeszans'' poszedł swym wyćwiczonym kroczkiem w kierunku bramy, za którą tak jasno świeciło słońce wolności. Szedł jak w transie, słysząc tylko zbyt silne bicie własnego serca...

JAN CZAHARSKI

(Dokończenie — za tydzień)

Korespondencje: **NIEMCY**

Moralność kobiet niemieckich

Frankfurt a/M, koniec grudnia.

RATUJCIE rodzinę!'' — wołali niemieccy biskupi w liście pasterskim, opublikowanym w pierwszych dnich września ub. roku po konferencji w Fulda. Już wówczas bowiem wystąpiły w Niemczech katastrofalne objawy upadku moralności jako wynik zarówno hitlerowskich rządów jak i niedawnej wojny. Hitleryzm zaszczepił w niemieckim społeczeństwie wiele zarazków zła, powodując to wszystko, czego byliśmy świadkami w czasie wojny. Straszliwe skutki hitlerowskiego światopoglądu i rządów oprócz zbrodni i okrucieństw wojennych, ujawniają się może najwyraźniej w dziedzinie obyczajów. To, co obserwujemy w Niemczech, jeśli chodzi o niemieckie kobiety bez różnicy wieku czy warstwy społecznej, stwarza obraz pełen ponurości i wywołuje uczucie niesmaku nawet wśród najbardziej wyrozumiałych.

Stawiając jako naczelne zadanie niemieckich kobiet, przynoszenie na świat licznego potomstwa, ułatwiając rozwody, legalizując pozycję dzieci nieślubnych, wprowadzając instytucję domów rozrodczych "Lebensborn", hitleryzm znieczulił moralnie niemieckie kobiety do tego stopnia że dziś z wielu stron podnoszą się głosy, wyrażające największą obawę o zdrowie moralne współczesnego pokolenia niemieckiego.

MURZYNIĘTA...

Nieślubne dzieci są w Niemczech zjawiskiem prawie nagminnym (w Bawarii 32,1 procent, w Bad Kissingen 55!,) a według berlińskiego adwokata dra Paula Rouge — w Niemczech dokonuje się rocznie 2 mil. zabiegów spędzenia płodu, co w samym tylko Berlinie spowodowało około 6 tys. śmiertelnych wypadków. Częstym zjawiskiem są dzieci pół-krwi murzyńskiej, ponieważ wśród wojsk okupacyjnych są i murzyni. W jednej z monachijskich klinik przyszło na świat 40-te murzyniątko, w Erlangen 25-te, a w dwóch osadach pod Monachium na 267 dzieci jest 37 z ojców murzynów.

W swoim czasie bawarski min. pracy Albert Rosshaupter, w wywiadzie prasowym z "Süddeutsche Zeitung'' w Monachium, mówił o "czekoladowych pannach''' w Niemczech. Dzieląc się wrażeniami z podróży po sowieckiej strefie okupacyjnej minister oświadczył m.in.: "Prawie nie ma tu "przyjaźni'' pomiędzy niemieckimi kobietami a członkami sił okupacyjnych, ale bynajmniej nie dlatego, że kobiety Turyngii są cnotliwsze, ale dlatego, ponieważ brak odpowiednich warunków u sowieckich żołnierzy, posiadających niewiele czekolady, kawy papierosów lub podobnych przyciągających rzeczy.'' W ten sposób wysoki dostojnik bawarski potwierdził tylko stosunki, istniejące na terenie amerykańskiej okupacji Niemiec, gdzie t. zw. fraternizacja (bratanie się) rozwija się w najlepsze, gdzie niemieckie kobiety, bywające w amerykańskich klubach żołnierskich, muszą jedynie zaopatrzyć się w „towarzyski paszport'' policyjny. Ma to zabezpieczyć kluby przed osobami „wątpliwymi lub niepożądanymi,'' jak głosi oficjalne uzasadnienie tego zarządzenia, nie stawiającego zresztą warunku poddania się badaniom lekarskim. Według miarodajnych ocen, niemieckie dziewczęta niezbyt chętnie zaopatrują się w tego rodzaju paszporty. Nie znaczy to, aby nie bywały w klubach, które stale są przepełnione. Niechęć do owych paszportów tłumaczy się obawami przed urzędowym niejako stwierdzeniem „przyjaźni'' wobec żołnierzy obcego, okupującego kraj mocarstwa.

NIEMIECCY MĘŻCZYŹNI, NIEMIECKIE KOBIETY

Bawarski minister nie odkrył Ameryki, a jedynie miał odwagę powiedzieć głośno to, co widzi się na każdym kroku. Jedyną reakcją na istniejący stan rzeczy, nie przynoszący bynajmniej zaszczytu niemieckim kobietom, są napisy młodzieńczych idealistów w wagonach pociągów, na murach miast, a nawet w... szaletach, głoszące: „Deutsche Manner — deutsche Treue, deutsche Weiber — deutsche Säue...''

Nie pomoże usprawiedliwianie postawy niemieckich kobiet, podejmowane nawet przez organ armii amerykańskiej „Die neue Zeitung'' z Monachium, że powszechny jest wzrost prostytucji w powojennym okresie, jako wynik upadku obyczajów i panującej niedoli gospodarczej. Niewątpliwie, zachowanie się niemieckich kobiet można częściowo usprawiedliwić tymi dwoma argumentami, ale nic nie usprawiedliwi powszechności zjawiska, bo wyrasta ono na podłożu dawnych narodowo-socjalistycznych haseł, propagandy i praktyki.

LICZEBNOŚĆ ROZWODÓW

Fala rozwodów, jaka ogarnia obecnie Niemcy, jest również skutkiem hitlerowskiego wychowania i obyczajowości. Zaczęła się tuż po zakończeniu działań wojennych i trwa do dziś, jako zgubny skutek ideologii hitleryzmu. W listopadzie 1945 r. zgłoszono w Berlinie 2.815 wniosków o rozwody, w grudniu — 2.544, co stanowiło 25% wszystkich spraw sądowych w tym mieście. W Hannoverze na 737 spraw sądowych 604 dotyczyły rozwodów, przewyższając dziesięciokrotnie cyfry z r. 1942. W Stuttgart, obok 400 procesów cywilnych, było 500 procesów o rozwód. Statystyki bawarskie podają olbrzymi wzrost rozwodów w latach wojny: 1941 — 4.238, 1943 — 5.102 (gdy w r. 1938 — 3.838). Są to dane tylko cząstkowe, jakie udało się wyłowić z alarmujących notatek prasowych.

„TELEFONICZNE'' MAŁŻEŃSTWA

Przyczyny zjawiska masowości rozwodów są różnego rodzaju. Jedną z nich, napewno nie najmniej ważną, jest atmosfera moralna za czasów hitlerowskich w Niemczech, gdy istotą zagadnienia małżeństwa było mnożenie się na chwałę Führera i na użytek wojennej maszynerii. Zawierano więc t. zw. małżeństwa wojenne, telefonicznie, depeszą, listem, a nawet przez radio. Trudno było w tego typu małżeństwach oczekiwać trwałej więzi. Zrywała się ona łatwo, gdy mąż wrócił z frontu lub z niewoli, zastając sytuacje na ogół niezbyt miłe. Jeśli zaś nie powrócił lub nadal przebywa w niewoli, Niemki, w olbrzymiej większości wypadków, organizują sobie nowe życie.

Jeden z niemieckich sędziów we Frankfurcie zwrócił uwagę, że niemieckie żony często wnoszą skargi rozwodowe, gdy mąż wrócił z frontu czy z niewoli, jako inwalida lub schorowany. Ta opinia również rzuca charakterystyczne światło na moralność niemieckich kobiet.

BRAK MĘŻCZYZN

Inny problem to nadmiar kobiet w Niemczech. Pokolenie mężczyzn młodych wyginęło na wojnie lub przebywa nadal w obozach jenieckich. Możliwości wyjścia zamąż są dla niemieckich kobiet dość ograniczone. Dlatego też można zaobserwować zabiegi o cudzoziemców, szczególnie o Amerykanów. Obecnie bowiem nie obowiązuje już zakaz „bratania się,'' gdyż 6 stycznia 1947 r. wydano nowe przepisy, ułatwiające amerykańskim żołnierzom zawieranie związków małżeńskich z Niemkami, które zostały prawnie zrównane z t. zw. „war brides'' (wojenne narzeczone) innych narodowości. Według danych amerykańskich Kwatery Głównej od czasu zniesienia zakazu małżeństw z Niemkami zgłoszono 3.609 podań o zezwolenie na małżeństwo, z czego 2.190 zostało załatwionych pomyślnie. Prasa niemiecka wciąż zamieszcza notatki o wyjazdach niemieckich narzeczonych do Stanów Zjedn. oraz ich relacje o przyjęciu, doznanym za oceanem. Sensacyjny zaś posmak miała wiadomość z kół żydowskich rabinów armii amerykańskiej, że wiele Niemek godzi się nawet na przyjęcie wyznania mojżeszowego, byle tylko w ten sposób uzyskać zezwolenie na ślub z Amerykanami wyznania mojżeszowego!! Żydowscy duchowni postanowili jednak nie udzielać tego rodzaju ślubów.

Uwagi te nie wyczerpują oczywiście zagadnienia upadku moralności w Niemczech. Miały one na celu jedynie wskazanie na niektóre przyczyny tego zjawiska, które jest smutnym i bolesnym dla Niemiec skutkiem hitlerowskich rządów.

JÓZEF BIAŁASIEWICZ

Pasterka św. Franciszka

ZE STRONY 2

tu w lesie, w waszym Greccio, we wszystkich chatach i domach, w każdej franciszkańskiej celi i zarazem w sercach waszych. Tej nocy, pełnej chwały i pokoju wszędzie winien stać żłóbek, gdyż życzę wam, by Dziecię Jezus zagościło w waszych sercach.

Długo jeszcze mówił święty, a pielgrzymi chłonęli jego słowa jak błogosławione światło, które płynęło do ich dusz.

A gdy w czasie Podniesienia ksiądz Jan przy dźwięku dzwonka podniósł w górę Ciało Pańskie, wiedzieli wszyscy że Syn Boży na nowo znalazł Swe mieszkanie wśród ludzkich braci, aby dzielić z nimi ich dolę, a ich ubóstwu dać blask Swej doskonałości.

*

Wracali do domu pełni cudownej radości i głosili wszystkim o cudzie, którego świadkami byli w lesie pod Greccio.

Przełożył z niemieckiego
A. J. O.

FRANCJA

KRYZYS WE FRANCJI

Paryż, połowa grudnia

OD szeregu tygodni panuje we Francji niepokój społeczny, szerzą się strajki w coraz innej gałęzi przemysłu lub służby publicznej. Komuniści parli do strajku generalnego, który na skutek stanowiska większości robotników nie doszedł do skutku. Co leży u podstaw tego niepokoju? Można powiedzieć, że dwa są powody takiego stanu we Francji.

Jeden to ogromnie ciężkie warunki materialne, w których znajduje się większość społeczeństwa francuskiego, a na które składa się brak równowagi pomiędzy zarobkami i cenami artykułów pierwszej potrzeby. Zarobki szerokich rzesz pracowniczych są pochłaniane przez wydatki na żywność. Lecz zarobki są takie, że nie wystarczają na to, aby robotnik wraz z rodziną lub urzędnik mógł jeść do syta. Mimo dużej podaży pewnych artykułów spożywczych — nikt ich nie kupuje, ponieważ ceny są wygórowane, a normalne prawo podaży i pobytu nie reguluje cen.

Ceny artykułów kartkowych z przydziału są też bardzo wysokie. Różnica w tym względzie, pomiędzy Anglią i Francją, polega na tym, że w Anglii każdego najskromniej uposażonego człowieka stać, całkiem swobodnie, na kupno artykułów kartkowych, natomiast we Francji artykuły te są stosunkowo drogie i zarobki warstw pracowniczych nie wystarczają na zapewnienie minimum egzystencji w dziedzinie wyżywienia. Jest to kiepska bardzo polityka, fatalnie odbija się na stanie zdrowia społeczeństwa francuskiego, które od wojny nie miało normalnego wyżywienia. W ostatnich n.p. tygodniach *dzieci od lat trzech* nie miały możności otrzymywania przydziałowego mleka, od września nie otrzymały ani gramu masła, jajka są zupełnie niedostępne. Słowem — dzieci, nie mówiąc już o starszych — nie mają dostatecznego wyżywienia. Mięso jest bardzo drogie, choć go nie brak na wolnym rynku. Przydziały opału są minimalne, a opał (drzewo) na wolnym rynku jest dostępny tylko dla burżujów.

Drugi powód podniecenia — to polityka Rosji, która za wszelką cenę nie chce dopuścić aby Francja związała się z państwami anglosaskimi. Rosja chce Francję związać z sobą i swoją polityką przez osadzenie komunistów u władzy. Doskonale sobie Rosja zdaje sprawę, że opanowanie Francji — to bezkrwawe opanowanie całej reszty Europy. To co się dzieje we Francji — jest swego rodzaju wojną pomiędzy dwoma najpotężniejszymi mocarstwami — Rosją i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej.

Ostatnie wypadki wykazały społeczeństwu francuskiemu, tradycyjnie filoruskiemu, że partia komunistyczna, to twór obcy, który nie szanuje żadnych zasad zmierzających dla dobra własnego narodu. Tę swoją obcość i podległość innemu mocarstwu Partia zamanifestowała w sposób skandaliczny. Zamachy komunistów niczym się nie różnią od zamachów dokonywanych przez faszystów. Komuniści, jako zasadę, przyjęli opieranie swych rządów na mniejszości, i rządzenie przeciwko większości. Jak to ma miejsce w Europie środkowej i wschodniej. We Francji to im się nie udało. W walce rzucają hasło ślepego, tępego posłuszeństwa, które doprowadza w praktyce do zniesienia wolności jednostki.

W jakim stadium tej walki znajdujemy się, trudno jeszcze powiedzieć. Należy podkreślić dojrzałość robotnika francuskiego, który na czas się zorientował, że słuchanie rozkazów partii komunistycznej jest równoznaczne z podporządkowaniem Francji polityce obcego mocarstwa; że francuska racja stanu wymaga od swych obywateli karności i posłuszeństwa legalnemu rządowi. Rząd Roberta Schumana zachował przez cały czas zasady demokratyczne, wszystkie ustawy przeszły przez Parlament. nie żądał Rząd pełnomocnictw specjalnych, choć mógłby uniknąć opóźnienia i niepotrzebnych dyskusji parlamentarnych w chwilach decydujących. Posłowie w Parlamencie zachowali się wspaniale, pracowali od wczesnego rana przez całe noce, zawsze liczba głosujących była ta sama. Można powiedzieć śmiało, że w czasie tych niekończących się obrad duch posłów zwyciężał ich ciała. Niebywałą wytrzymałość fizyczną okazał Edward Herriot marszałek parlamentu.

Decyzje o powzięciu uchwały o strajku generalnym należała do związków zawodowych: Confederation Generale du Travail, C.G.T., (KonfederacjaOgólna Pracy).

W tej konfederacji zarysowały się dwa poglądy, jeden za strajkiem generalnym,

SZWAJCARIA

CZY ISTNIEJE TESTAMENT PADEREWSKIEGO?

Fryburg, w grudniu.

Amatorzy sensacji są w stanie podniecenia. Sprawa spadku po Ignacym Paderewskim nabiera z każdym dniem więcej rozgłosu, a niektóre jej momenty nasuwają rzeczywiście poważne wątpliwości.

Przypomnijmy główne fakty.

Ignacy Paderewski we wrześniu 1940 roku opuszcza Szwajcarię, przejeżdża przez nieokupowaną część Francji, Hiszpanię i Portugalię i po długiej morskiej podróży ląduje w listopadzie w Nowym Jorku. Tam umiera 20 czerwca 1941 roku, w wieku lat 81. Z braku testamentu cały milionowy spadek przypada jedynej znanej wówczas krewnej, siostrze, p. Wilkońskiej, przebywającej w Ameryce. W 3 miesiące później umiera z kolei p. Wilkońska, zapisując przed śmiercią majątek p. Sylwinowi Strakaczowi, b. sekretarzowi Mistrza. P. Strakacz dysponuje obecnie całym spadkiem po Paderewskim.

Wkrótce po zakończeniu wojny okazało się jednak, że w Polsce żyje przyrodni brat Paderewskiego, Józef, oraz przyrodnia siostra, Maria Paderewska. Według prawa, w braku testamentu każdemu z nich należy się 1/6 spadku.

W okół tej pozornie nieskomplikowanej sprawy rozpętała się i trwa w najlepsze prawdziwa burza pogłosek, plotek, domysłów i insynuacyj. Z najbardziej rewelacyjnym materiałem, (który jednak należy przyjąć z dużą ostrożnością, ponieważ już kilka zawartych w nim danych okazało się nieścisłymi), wystąpiły dwa największe szwajcarskie tygodniki ilustrowane: *„Schweizer Illustrierte Zeitung”* i *„Illustré.”* Z jednobrzmiącego tekstu wynika nie mniej nie więcej, tylko, że spadek po Paderewskim dostał się w ręce obecnego posiadacza na skutek intrygi i kryminalnej machinacji, której pośrednim rezultatem była nawet — zamierzona i przyśpieszona trudami podróży do Ameryki — przedwczesna śmierć pianisty.

Prawdopodobnie p Strakacz nie pozostawi bez odpowiedzi takiego oskarżenia. Wyjaśnienia należy oczekiwać również w interesie dobrego imienia polskiego, które staje się w tym wypadku przedmiotem międzynarodowego skandalu. Sprawa ma jednak i inne oblicze, nie bez znaczenia dla opinii polskiej.

Paderewski miał niejednokrotnie dawać do zrozumienia, że cały swój majątek, poza paroma niewielkimi zapisami, pozostawi na cele narodowe. Wymienia się Polską Akademię Umiejętności, jako głównego w intencji donatora spadkobiercę. Cenna posiadłość Riond-Bosson w Morges, szacowana na 250.000 dolarów, miała być przekształcona na ognisko dla polskich artystów i literatów. Przypuszcza się, że testament był zredagowany właśnie w tym sensie. Tymczasem testamentu... dotychczas nie znaleziono.

Wyłania się kwestia, czy istniał on kiedykolwiek. Przeważa opinia, że tak. Notariusz Paderewskiego stwierdza, że w roku 1929 jego klient, udając się do Lozanny na niegroźną zresztą operację, sporządził pośpiesznie dokument w jęz. polskim i nie pojechał prędzej do kliniki, zanim podpis na dokumencie nie został należycie potwierdzony przez znajdującego się na miejscu syna notariusza, Szwajcara. Wszystko wskazuje na to, że tym dokumentem mógł być tylko testament.

Jeżeli nawet został on później zniszczony przez autora (na co brak jakichkolwiek danych), wydarzenie to świadczy dość przekonywująco, że Paderewski w każdym razie nie miał zamiaru pozostawić majątku prawnym spadkobiercom, osobom prywatnym, ale miał specjalne plany. Jeżeli Paderewski nie poddał się łatwej operacji przed napisaniem testamentu, trudno sobie rzeczywiście wyobrazić, by zaniedbał to uczynić w 11 lat później, mając lat 80 i udając się w daleką i niebezpieczną podróż zamorską podczas wojny

Jak widać jednak, wszystko polega obecnie na przypuszczeniach i hipotezach. Wiadomo ogólnie, że w Szwajcarii i w Ameryce prowadzone są prywatne dochodzenia z ramienia poszkodowanych krewnych, ale nie wpłynęło dotąd żadne oficjalne zaskarżenie, a wszystkie posunięcia odbywają się w najgłębszej tajemnicy w kancelariach adwokackich Starego i Nowego Świata. Sprzyja to oczywiście powstawaniu najfantastyczniejszych pogłosek.

Wartość spadku jest oceniana różnie, w granicach od pół miliona do 5 milionów dolarów. Składaja się na masę spadkowa posiadłości w Szwajcarii, na Florydzie i w Brazylii oraz niewiadome sumy w akcjach i depozytach bankowych, nie mówiąc o spuściźnie artystycznej. Niezaleeżnie jednak od cyfr, **sprawa jest dla opinii polskiej przkyra, gdyż nazwisko wielkiego artysty wciągnięte zostało w atmosferę niemal afery. Oczekujmy, że nastąpią miarodajne wyjaśnienia, które albo doprowadzą winnych przed sąd, albo oczyszczą atmosferę z wszelkiej dwuznaczności.**

Tymczasem piękny pałacyk w Morges, zaniedbany i opuszczony, chyli się niepotrzebnie ku ruinie...

WILGA

W. BRYTANIA

Ks. Stanisław BEŁCH

Wędrówki duszpasterza akademickiego

Uwagi—Spostrzeżenia—Wnioski

POWSTAJĄ w naszych czasach nowe typy duszpasterzowania; instytucja proboszcza obejmuje parafię jako taką, ale obok tego powstali duszpasterze specjalni: dla młodzieży w ogóle, dla filmowców (w wielkich ośrodkach filmowych), dla robotników, itd. Duszpasterz akademicki, czy uniwersytecki, jest wznowieniem dawnej instytucji. Dawne Uniwersytety miały swych dusztasterzy; takim był w Krakowie św. Jan Kanty.

Przyszedł czas, kiedy religię z wyższych uczel niusunięto, student był prawie synonimem liberała-ateusza. Dziś zaszła poważna zmiana. Sama młodzież studiująca prosiła Biskupów o księdza, któryby jej pomagał w szukaniu ideału życiowego. Jakże szybko w Polsce przed wojną powstały wspaniałe wzory pracy katolickiej na polskich Uniwersytetach i jak żywo młodzież garnęła się do swoich duszpasterzy! Na całym świecie powstała już instytucja duszpasterzy uniwersyteckich, nawet przy Uniwersytetach a-katolickich, i, rzecz dziwna, duszpasterze ci mają wielkie zrozumienie dla swej pracy nawet u niekatolickich kierowników uczelni. Młodzież, nawet niekatolicka, chętnie garnie się po słowo prawdy bożej, po wskazania życiowe tkwiące w zdrowej nauce Kościoła.

Powstają katolickie organizacje studenckie, które są zcentralizowane w wielkim ruchu światowym Pax Romana, chcące pracować nad przywróceniem Uniwersytetom pierwotnego ideału pracy dla królestwa Bożego i służby temuż. Powstaje legion ludzi wykształconych, doskonalących w sobie człowieczeństwo według wskazań Kościoła, by stać się gotowym do pracy wprost misyjnej we własnym kraju.

Poza granicami Polski studiuje, jak nigdy przedtem, kilka tysięcy jej synów i córek. Jest, lub winno być, gorącym pragnieniem wszystkich dobrze myślących Polaków, by młodzież ta wyniosła z uczelni zagranicznych zarówno gruntowną wiedzę fachową, jak należyte wyrobienie swej osobowości. Polska straciła tylu ludzi i tylu ich traci, a iluż jeszcze straci. Jakiż będzie los polskich uczelni i jakich one będą wydawały ludzi, gdy zostanie narzucony siłą kierunek wychowawczy, obcy i wrogi temu, co istotnie polskie? Stąd takie nadzieje pokłada się na tych, którzy mają względną swobodę rozwoju właściwego.

Ale obok nadziei są i poważne obawy. Czy młodzież ta nie ulegnie rozkładowi ideowemu, jakiemu ulegają od dawna uczelnie Zachodu, zwłaszcza jeśli się uwzględni przygnębienie w jakim nasza młodzież żyje? Wiele się tu budzi obaw i wiele myśli o tym, co należy zrobić, by młodzież ta, ci synowie i córki narodu o starej kulturze katolickiej, wnosiła w swe otoczenie ducha odrodzenia a kiedyś, kiedy nadejdzie chwila, wniosła mądrość i nieśmiertelny ideał cnoty.

Te myśli przepełniały mą duszę, gdy z woli Biskupa, objąłem obowiązki duszpasterza tej młodzieży i kiedy w kwietniu i maju b. r. odwiedzałem ośrodki polskiej młodzieży w Italii, Szwajcarii, Francji i Belgii, w październiku młodzież w Irlandii (Cork, Galway, Dublin), a teraz, gdy wybierałem się do pięciu ośrodków w W. Brytanii (Leicester, Leeds, Manchester, Nottingham, Birmingham) i te myśli będą mi towarzyszyć, gdy będę odwiedzał wszystkie inne ośrodki.

W uczelniach katolickich (Louvain, Fryburg, Cork, Galway, Dublin, Anger i paru innych), młodzież nasza ma sposobność studiowania, obok swego przedmiotu, etyki zawodowej, co, zwłaszcza jeśli chodzi o zawód lekarski, ma wielkie znaczenie. Równocześnie katolicka atmosfera uczelni powoduje, że oblicze naszych studentów jest odmienne od tych, którzy studiują na uczelniach pozbawionych chrześcijańskiej postawa ideowej i w których panuje luźna etyka lub brak etycznego podejścia. Tu obawy są większe i potrzeba pracy specjalnej ze strony młodzieży i duszpasterza bardziej nagląca.

Młodzież nasza, w którą uderzyło wiele ciosów, ma bardzo wiele problemów, osobistych i narodowych, do których rozwikłania potrzebuje zdrowych zasad dogmatycznych i etycznych, a których nie dostarczyło im wychowanie domowe, gdyż zbyt młodo od niego odeszła, i których nie dostarcza jej żadna instytucja. Jakaż jest praktyczna postawa tej młodzieży, wobec tych trudności? Na ogół cechuje ją wysiłek, by narzucające się problemy zepchnąć w sferę nieświadomości, nie myśleć o nich, by móc skierować siły umysłu ku nauce, do której biorą się z polską zawziętością, a wyniki mają dobre.

Pewna część dokonuje samodzielnego wysiłku, by przebyte i przeżywane cierpienia przekuć na wartości duchowe. Ci pracują nad tym, by wyniesione z domu, szkoły i duchowego klimatu polskiego podstawowe zasady życiowe przekuć na szczegółowe wskazania, odnosząc się do zmienionej i ciągle zmiennej sytuacji życiowej. Doszli oni do interesujących pomysłów w samodzielnej pracy, umieli nawiązać łączność ze wszystkim, co na ich umysł wpływa budująco; modlą się, korzystają z Sakramentów, biorą udział w organizacyjnym życiu katolickich studentów angielskich — słowem, umieją być sobą.

Na skrajnie odmiennym miejscu stoją ci — nieliczni — którzy zrezygnowali z wysiłku, zdezertowali ze stanowiska katolickiego i stali się praktycznie ateuszami. Nie można i co do nich tracić nadziei; pozostało w nich wiele z wartości katolickich, żywych ciągle i przypominających o sobie; można ufać, iż przyjdzie moment, kiedy łaska Boża w nich zwycięży i wrócą do opuszczonego Ojca.

Największą ilość stanowią „śpiący,” ani zimni, ani gorący „neopozytywiści,” wyczekujący, kto będzie górą, nie czyniący wysiłku, by wytworzyć sobie postawę, zdrową postawę, w walce światopoglądowej.

O co by chodziło? Najważniejsze: trzeba wlać w każdą duszę przekonanie o tym, że się jest potrzebnym; że, w Polsce czy poza nią, można i trzeba jej służyć i że to ma sens, wartość, — oraz podać konkretne sposoby dokonywania tego. Jeśli o to ostatnie chodzi, stosunkowo łatwo jest natchnąć jakąś „konkretną” pracą, trudniej natomiast jeśli chodzi o to, co jest właściwie ważne, to jest że należy głównie wyrabiać swoją osobowość, czyli t. zw. integracja osobowości, według i w myśl postulatów doktryny katolickiej. Trudność pochodzi stąd, że doktryna ta domaga się zaparcia siebie, dyscypliny, ascezy, treningu najmniej odczuwanych sił ludzkiej natury. Chodzi o wyzwalanie się strony duchowej z podlegania sferze nieświadomej, prymitywnej, zmysłowej, zwierzęcej. Chodzi o władztwo ducha, o rozwój cnót, o zawarcie przymierza i przyjaźni z Bogiem, konkretnym i wcielonym, więc z Chrystusem, historycznym i rzeczywistym, i to z Chrystusem konkretnie działającym poprzez swój Kościół ze wszystkim co tenże daje i czego domaga się. Chodzi o śmierć starego i narodzenie się nowego człowieka. Łatwe to nie jest i dlatego tak mało zdobywa zwolenników, a o to właśnie chodzi.

Jestem niezmiernie wdzięczny wszystkim, którzy z taką troskliwością dopomogli mi w spełnieniu mego obowiązku. W każdym miejscu, do którego przyjechałem, zastałem wszystko zorganizowane „na ostatni guzik,”— było to dla mnie wielką zachętą i pociechą. Duchowieństwo angielskie, zwłaszcza Przew. XX. Biskupi, okazali pełne poparcie, a z rozmów z nimi wnioskuję, jak bardzo są nam życzliwi, jak bardzo chcieliby nam pomóc. We wszystkich miejscach miałem konferencję religijną, wszędzie dałem możność

KRYZYS WE FRANCJI

ZE STRONY 13

reprezentowany przez Benoit Frachon, komunistę i drugi przeciwko strajkowi, reprezentowany przez starego działacza związków zawodowych, Leona Jouhaux. Tych, którzy mieli złudzenia, akcja Frachon'a utwierdziła w przekonaniu, że działalność partii komunistycznej podlega rozkazom Kremla. Członkiem, który spowodował niepowodzenie strajku generalnego jest Jouhaux. Ten sam, który przed wojną 1914 roku pogrążał Paryż w ciemnościach i organizował rozruchy społeczne i doprowadził do t. zw. grevé perlée. Był on i jest leaderem w Europie ruchów zawodowych. U progu swej kariery był anarchistą. W 1909 wybrany został sekretarzem generalnym C.G.T. Był wtedy głośnym antymilitarystą i pacyfistą. W roku 1914, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa, pierwszy raz zerwał Leon Jouhaux z pewnego rodzaju anarchizmem i antymilitaryzmem francuskich organizacyj robotniczych, okazał się patriotą i energicznie podtrzymywał francuski wysiłek wojenny. Obecnie po 30 latach powtórzył swój patriotyczny gest, w momencie krytycznym, jaki przeżywała obecnie Francja, zdobył się na postawienie swego kraju ponad swą klasą, a klasę postawił ponad partią, w odróżnieniu od Benoit Frachon, który stawiał interes partii ponad interesem klasy robotniczej i ponad interesem kraju. Poraz drugi w historii Francji najpoważniejsza postać Związków Zawodowych francuskich (i europejskich) utożsamiła się z patriotycznym impulsem francuskich mas robotniczych.

Można — zdaje się — stwierdzić, że usiłowania komunistów przekształcenia starej apolitycznej bezpartyjnej organizacji pracowników w maszynę partii komunistycznej moskiewskiej nie udały się w zupełności. Zawiedli Moskwę francuscy kolejarze, francuscy górnicy, francuscy metalurgicy. Najprzykrzejszy jest zawód ze strony kolejarzy, którzy brali udział we francuskim ruchu oporu. A jak wiadomo — zdaniem komunistów — francuski opór, to tylko oni, partia. (A jak wyglądał „opór” komunistów, gdy Hitler szedł ręka w rękę ze Stalinem — Sz. Czytelnicy pamiętają: Symbolem tego „oporu” jest przywódca komunistów francuskich Thorez — dezerter właśnie na stronę niemiecką w pierwszej fazie wojny). Rzekomo nikt prócz komunistów nie przeciwstawiał się okupacji niemieckiej. I ci ukochani kolejarze nie posłuchali rozkazu z Moskwy. Nie jest to pierwsze niepowodzenie komunistów francuskich. Przypominamy ustąpienie ich z Rządu, zwycięstwo Gaulistów w wyborach do rad miejskich. Dokonywane przez komunistów sabotaże nie znajdują najmniejszej sympatii ze strony społeczeństwa. Francuzi szanują życie ludzkie i nie lubią niepotrzebnych ofiar z życia, sabotażami nie zdobędą sobie komuniści popularności.

Walka idzie o niepodległość Francji oraz niepodległość francuskiego frontu pracy.

W tej walce nie może być mowy o zwycięstwie pracodawców nad pracownikami, ani kapitału nad pracą. Los Francji musi być zdecydowany z szerokim uwzględnieniem interesu całości narodu francuskiego, a przez to samo z uwzględnieniem potrzeb robotników francuskich.

Jakie owoce zbiera Francja po tych tygodniach strajków? Stracono miliony godzin, które można było przepracować. Szkody te trudno będzie nadrobić, tak, jak i szkody spowodowane sabotażami. Znowu pogarsza się sytuacja budżetowa i pieniężna, znowu trzeba będzie szukać kredytów na pokrycie niedoborów, znowu niedobory te będzie musiało ponieść społeczeństwo francuskie. Prawdopodobnie będą musiały być podwyższone podatki pośrednie, oczekuje się zwyżki cen produktów, dostarczanych przez upaństwowione przedsiębiorstwa, będzie to nowy krok do dewaluacji.

IRENA TOPACZ

wyspowiadania się po polsku, z czego w pewnych ośrodkach skorzystała młodzież w pełni. Miałem możność przeprowadzenia długich rozmów indywidualnych i, patrząc teraz w tył widzę, ile to dusz polskich pragnie i łaknie sprawiedliwości, łaski, słowa Bożego. Mogę ich zapewnić, iż Bóg pragnienie ich nasyci i pobłogosławi ich szlachetny wysiłek, a Najświętsza Panna, Patronka Polskiej Młodzieży Akademickiej, poda im rękę, by po drodze, najeżonej trudnościami, kroczyli zwycięsko.

Z przeprowadzonych rozmów z różnymi grupami studenckimi nasunęły mi się następujące konkretne spostrzeżnia i wnioski.

— W każdym, choćby nielicznym środowisku studenckim, winna istnieć i działać zorganizowana grupa studentów i studentek, chcących doskonalić się — jako ludzie-katolicy — według zasad i sposobności, jakie podaje Kościół. Stąd koniecznym jest, by wszędzie powstał oddział Polskiego Katolickiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego VERITAS, współpracujący z siostrzaną organizacją katolików angielskich, „*The Union of Catholic Students*"; obie organizacje, polska i angielska, są członkami światowego ruchu „*Pax Romana.*"

— Każdy ośrodek studencki winien mieć opiekę religijną ze strony polskiego kapłana, mieszkającego albo na miejscu albo w najbliższym sąsiedztwie. Młodzież, chcąca pogłębić się nad sobą pracować, zgrupowana w oddziale Veritasu, pomoże mu na miejscu w wykonaniu jego funkcji kapłańskich dla wszystkich, a grupa „śpiących" powoli rozgrzeje się i ożyje życiem łaski.

— W każdym ośrodku winien znajdować się i być wykorzystany zestaw książek katolickich, wydanych po polsku w Londynie, a dotyczący najważniejszych spraw życia.

— Należy dążyć, by młodzi Polacy mogli spotykać się z polskimi dziewczętami, mogli zaręczać się i zawierać małżeństwa, a przynajmniej mieć nadzieję na zawarcie związku małżeńskiego. Zbliżenie winno dokonywać się w atmosferze szlachetnej, rycerskiej i poważnej; winno być owiane dążeniem do podniesienia ideału życiowego do poziomu, wskazanego przez wiarę katolicką.

— Młodzież myśli poważnie o założeniu ogniska domowego, o posiadaniu i wychowaniu dzieci. Należy dołożyć wszelkich starań, by te ciche nieraz i nieświadome pragnienia serc, mogły być urzeczywistnione, lub przynajmniej by świtała uzasadniona nadzieja ich urzeczywistnienia.

— Polskie organizacje, polityczne czy jakiekolwiek inne, winny na pierwszym miejscu stawiać cele moralne i winny dopomóc w wysiłku duszpasterskim, zgodnie z intencjami duszpasterzy. Jeśli zaś nie mogą lub nie chcą pomagać, niech przynajmniej nie przeszkadzają.

— Jest paradoksem, że duszpasterz akademicki w W. Brytanii nie ma żadnych środków na dostarczanie młodzieży książek, potrzebnych dla wyrobienia wewnętrznego.

*

Odwiedzając Studentów, spotkałem mnóstwo Polaków i Polek, rozsypanych dziś po całej Wyspie. W każdej prawie większej miejscowości pracuje nieraz po kilka set osób w różnych fabrykach. Wszędzie stwierdziłem palącą potrzebę polskiego księdza na miejscu. Biskupi, księża proboszczowie, katolicy i nie-katolicy angielscy, a najwięcej sama ludność polska — wszyscy mówili mi, że są potrzebni polscy księża. Biada nam, jeśli ich nie dostarczymy!

— Zapytywano mnie dość często, zwłaszcza zapytywały rodziny polskie — o polską szkołę dla dzieci.

Tutaj mogłem dać odpowiedź pozytywną, bo, dzięki zabiegom i kosztom Sióstr Nazaretanek powstała już szkoła dla dzieci polskich. Było mi po drodze do Londynu, więc wstąpiłem przez Northampton do Pitsford, gdzie się ta szkoła znajduje, by zobaczyć pracę Sióstr. Znałem całą sprawę od samego początku, widziałem dom zaraz po jego zakupieniu i mogę stwierdzić postęp wynikły z mrówczej pracy Zakonnic.

W październiku przybyło ich 14 z Afryki (dokąd doszły z Rosji przez Persję), trochę dodały domy nazaretańskie istniejące w Anglii od lat prawie 50 (założone dla pracy wśród dawnej emigracji polskiej) i w tej chwili gotowy jest zespół prawie 20 sił do pracy wychowawczej.

Dzieci zastałem około 30, w wieku od 3—18 lat. Początek. Jedne z nich pochodzą z małżeństw mieszanych polsko-angielskich i te uczą inne konwersacji angielskiej, same nabierając znajomości języka polskiego. Program jest pomyślany w ten sposób, by dziewczęta miały znajomość zarówno polskiego, jak i angielskiego. Instytucja zapowiada się dobrze, ale... jeśli Polacy zrozumieją jej wagę. Zakonnice włożyły w jej postawienie kwotę £ 25.000; na więcej je nie stać, zwłaszcza, by dawać mieszkanie, utrzymanie i naukę za darmo. Jak dotąd, zainteresowanie ze strony polskiej jest słabe. Byłoby źle, gdyby Siostry były zmuszone zamiast polskich uczyć i wychowywać dzieci angielskie. Zrobiły dla nas dużo, czy my to należycie docenimy.

KS. STANISŁAW BEŁCH

W TROSCE O JEDNOŚĆ I CZYSTOŚĆ KULTU

„MEDIATOR DEI"

NOWA ENCYKLIKA PIUSA XII.

Po powrocie Piusa XII z Castel Gandolfo do Watykanu, została ogłoszona w 18 językach nowa encyklika.

Wiadomość, że Ojciec św. w czasie swego pracowitego „odpoczynku" w Castel Gandolfo przygotowuje nową encyklikę, dotarła już dawno do wiadomości publicznej, snuto jednak tylko domysły na temat jej treści, przypuszczając raczej, że „musi" dotyczyć spraw społecznych, stosunku do komunizmu etc. Tymczasem nowa encyklika dotyczy bardzo istotnego zagadnienia w Kościele, a mianowicie poprawności liturgicznej kościelnych obrzędów i wszelkich form pobożności zbiorowej i osobistej wiernych.

Encyklika liczy około 15 tysięcy słów, jest najobszerniejszą z encyklik od lat dwustu. Zaczyna się od słów „*Mediator Dei,*" to znaczy „Pośrednik Boży." Jest uzupełnieniem innej pomnikowej encykliki obecnego Papieża o Kościele, zwanej „*Mystici Corporis,*" gdyż traktuje o Kościele, jako Ciele Mistycznym Zbawiciela. Mimo, że jest zwrócona do „pasterzy wiernych," ma zasadnicze znaczenie dla wszystkich wiernych oddających cześć Bogu, gdyż wyjaśnia zarówno istotę liturgii, jak też uzasadnia konieczność właściwego stosowania jej przepisów.

Jak wiadomo, w Kościele Katolickim — oprócz liturgii obrządku rzymsko-katolickiego — jest szereg innych liturgij. Encyklika jednak, ze względów praktycznych, zajmuje się szczególnie liturgią obrządku rzmskokatolickiego, gdyż w nim właśnie w ostatnich latach powstały pewne ruchy liturgiczne, które, jako energiczna reakcja na poprzednią opsałość i zaniedbania, wywołały znowu zastrzeżenia przeciwników wszelkich nowości, gdyż nie zawsze utrzymały się we właściwych granicach.

Ojciec św. w trosce z jednej strony o świętość i poprawność kultu, a z drugiej o jedność wśród wiernych, zachęca wszystkich do rozsądnego uzwględniania postępu, ale zarazem przestrzega przed wszelką niepożądaną przesadą. Często bowiem w praktykowaniu religii, jak w życiu społecznym i politycznym, zarysowują się pozorne konflikty, polegające tylko na różnicy zdań, które można zharmonizować na płaszczyźnie wyższej jedności.

Dlatego ostatnia encyklika wylicza cały szereg sztucznych różnic, wyjaśnia, że nie są one istotne i w końcu daje odpowiedzi na wiele teoretycznych i praktycznych zagadnień z dziedziny liturgii, które w ostatnich latach były przedmiotem wielu dyskusyj. W obecnej bowiem chwili jest sprawą szczególnie ważną, by zachować nie tylko świętość form czci Bożej i czystość zasad wiary, lecz także wzrost życia duchowego.

Wśród spraw praktycznych znalazły się takie zagadnienia, jak problem nowoczesnej muzyki w kościele, używanie mszału przez wiernych, celowe sposoby uczestniczenia we mszy św., używanie języka łacińskiego, sprawa koloru szat liturgicznych, posągów świętych; w końcu — sprawa komisyj diecezjalnych, które miałyby przestrzegać zachowania przepisów liturgicznych.

Cała encyklika dzieli się na cztery części.

W pierwszej znajdujemy wyjaśnienie, na czym polega istota, jakie są początki i jaki był rozwój liturgii. Najważniejsze ustępy tej właśnie części zajmują się koniecznością unikania przesady w Mistycznym Ciele Chrystusa, tak zwaną obiektywną i subiektywną formą pobożności, godnością kapłaństwa i rozsądnym szacunkiem dla wszelkiej starożytności.

Druga część jest poświęcona czci Najświętszego Sakramentu, a więc traktuje o Ofierze Mszy św. i o uczestniczeniu w niej, N. Sakramencie i jego adoracji.

W trzeciej części znajdujemy uwagi o służbie Bożej w ciągu roku kościelnego, o cyklu świętych. W tej części mieści się też gorąca zachęta dla wiernych, by brali udział w nabożeństwie ku czci Matki Bożej oraz w nieszporach.

Czwarta część i ostatnia zawiera zachętę praktyki rozważań, do odbywania rekolekcyj zamkniętych do czci N. Serca Jezusowego i Niepokalanego Serca N. M. Panny.

Ojciec św. wzywa duchowieństwo do usilnego szerzenia ruchu liturgicznego i jego apostolstwa przez estetyczny i czysty wygląd kościołów, przez kultywowanie śpiewu gregoriańskiego i polifonii, przez celowe zastosowanie w liturgii architektury, rzeźby, malarstwa i muzyki, jako środków wyrażania pobożności bez niebezpiecznych przerostów i bez jaskrawości, do szerzenia ducha liturgicznego w kazaniach i w artykułach, na zebraniach i kongresach.

Encyklika kończy się wezwaniem do czujności przed przenikaniem tak licznych w ostatnich czasach błędów, a w szczególności przed fałszywym mistycyzmem, przesadnym archaizowaniem w liturgii, przed kwietyzmem i naturalizmem.

TRIUMFUJĄCE Niemcy u szczytu potęgi: podbita i wdeptana w ziemię Polska... Zagęta Dania, Norwegia, Belgia, Holandia... Mocarstwowa Francja rozbita, w połowie zalana... Zmiażdżone armie rosyjskie cofają się w popłochu....Żelazne uderzenie Niemców godzi w Petersburg i Moskwę....

Buta i pycha germańska sięga zenitu.

Widzimy to oszałamiające powodzenie w nadętych postaciach SS-manów, z pychą i poczuciem bezgranicznej wyższości przechadzających się po naszym obozie. Dobrani przedstawiciele "narodu panów".

Wyrzucony poza nawias człowieczeństwa "Haeftling" jeszcze staje się mniejszy: stara się zniknąć, by nie stanąć na drodze groźnemu władcy życia i śmierci, stara się nie zajmować przestrzeni, boć przecież o „przestrzeń" walczą Niemcy pod rozkazami Führera!

*

Nadszedł wieczór Wigilijny. Rzewne święto rodziny i ciepła domowego, wieczór przebaczenia i pokoju, wieczór zgody i miłości, wieczór pojednania nieba z ziemią.

Lecz nie dla więźniów niesie wigilijny Wieczór swoje święte dary.

Dzień upłynął jak każdy inny: w głodzie, zimnie, pracy i szykanach. Nastał smutny Wieczór.

Wieczerza zwykła, skromna wieczerza więźnia: 3 ziemniaki gotowane w łupinach, plasterek kiełbasy i pół litra gorzkiej herbaty z zielska. Siedzieliśmy ciasno przy stołach (dla oszczędności płyty stołów odwrócone wierzchem do spodu) w milczeniu spożywając swoje porcje.

Tylu nas było przy tych nędznych stołach, a każdy czuł się okrutnie samotny. Myśli biegły do Kraju, do najbliższych.

Siedzą pewnie przy stole wigilijnym. Biały obrus i siano, w rogu stoi choinka. Potrawy dymią grzybami i kapustą pachną... i opłatek się bieli. Lecz smutni są ci nasi ukochani, bo przy każdym prawie stole miejsce wolne, krzesło puste i nakrycie nietknięte — to dla tych, którzy są daleko w więzieniach, w lochach Gestapo, w obozach koncentracyjnych, jenieckich, łagrach Rosji, na tułaczce.

I smutno tam dzisiaj, w domach, przy Wigilii, milczenie bolesne, łkania i szloch, a łzy gorące, wielkie padają na biały obrus, na opłatek śnieżny....

Nagle otwierają się szarpnięte brutalnie drzwi izby, z łoskotem wtacza się na salę pijany SS-man.

—Achtung — wrzasnął izbowy, sadysta Joas.

Wszyscy jak biczem smagnięci podrywamy się z miejsc, słychać krótki stuk, brzęk odstawionych menażek. Nieruchoma zbita masa i śmiertelna cisza.

Ciężkim powolnym krokiem przeszedł się przez salę SS-man. Przekrwionym, pijackim wzrokiem powiódł po więźniach.

Złoży życzenia? Może powie choć jedno ludzkie słowo. Może tylko popatrzy i odejdzie spokojnie. Przecież i on ma matkę i on zasiadał do wieczerzy wigilijnej, śpiewał kolędy. Może matka prowadzała go, gdy był dzieckiem, do kościoła i pokazywała mu Jezusa w żłóbku? Może i w nim drgnęło skamieniałe serce i dzisiaj zabiło ludzkim rytmem?

O, nie! Narodowy socjalizm dobrze wychował swe kadry. Wierni uczniowie Nietzsche'go wiedzą, że nie trzeba być zbyt mężnym, by samemu znosić cierpienia, większego męstwa potrzeba, by cierpienie zadawać.

Nie spodobały się pijanemu SS-manowi milczące i skupione twarze dwustu księży polskich na sali. Szatan nie mógł znieść ciszy i spokoju, unoszących się nad tą wylęknioną gromadą.

—"Aaa—chtung"! — zaryczał ochrypłym głosem. "Padnij! Powstań! padnij! powstań!

Sala była niewielka, pełna stołów i taboretów. Księża stali jeden obok drugiego. Trzeba było jednak na komendę dokładnie przywierać do podłogi i zaraz powstać. Komendy były szybkie, równo odmierzone, jak stukot taktomierza. Bawił się SS-man widokiem zziajanych zmęczonych, padających w tłoku i podnoszących się z trudem postaci.

Minął kwadrans, dochodziło pół godziny. Starsi księża omdlewać poczęli i nie mogli się już dźwigać. Zauważył to SS-man, chwycił ciężki taboret i z rozmachem rzucił w leżącego bez sił kapłana. Chybił jednak.... Ten wybuch jednak uspokoił go nieco. Zaprzestał komendy, zakląwszy ordynarnie, trzasnął drzwiami i odszedł.

Rozległ się gwizdek, nakazujący udanie się na spoczynek. Bez składania sobie życzeń, bez śpiewu kolęd, w milczeniu każdy kładł

Ks. Jan PRZYBYSZ

Wigilia w Dachau

się szybko na twarde legowisko. Zgaszono światło. Była ciemna noc.

A przecież przed dwoma niemal tysiącami lat w taką ciemną noc nad ubogą stajenką w Betlejem zabłysło światło, światło miłości i radości a nad ziemią rozległ się śpiew aniołów "Gloria".

Snać bardzo (po tylu latach) oddalił się człowiek od Stajenki, odszedł tak daleko, że nie sięga doń promień gwiazdy betlejemskiej. Wszedł w mrok nocy i w ciemnościach błądzi...

Nagle... żałosnym jękiem rozelkały się syreny alarmowe. Nocny nalot Anglosasów.

Długie jęzory reflektorów liżą niebo, latają obłędnie po chmurach, krzyżują się z sobą i znowu rozbiegają.

Szukają nieprzyjacielskich samolotów. (A może te świetlne smugi reflektorów — to szlaki tęsknych myśli i ukrytych pragnień ludzi, szukających Boga?)

Na niebie zapalają się światła, piąte, dziesiąte, białe, czerwone, pomarańczowe, zielone. Nadchodzące samoloty zrzucają oświetlające kule pojedyńczo i w grupach, w pięknych, jak w bajce, choinkach. Nie ma choinki w barakach, palą się choinki na niebie.

Rozszalała się artyleria przeciwlotnicza. Suną w górę świetliste paciorki — jak westchnienia ludzkie. W górze pękają szrapnele rodząc — na moment — piękne gwiazdy. Padają bomby. Ziemia drży, wali się domy z hukiem, z trzaskiem szaleje pożar.

Uciekają wylęknieni ludzie, kryją się w ziemi, jak robactwo. Słabe nędzne robaki. Zawierzyli tylko materii, oto materia niesie im zagładę.

Drży ziemia od wybuchu bomb, wznoszą się słupy dymu i kurzu, strzelają w górę miliony iskier z płonących domów.

A może to odnawia się oblicze ziemi? Może w tych boleściach rodzi się nowe życie? Spojrzyj bystro i nadstaw ucha, człowiecze! Wtedy — może — w tych ogniach ujrzysz anioła i usłyszysz jego śpiew:

"Bóg się rodzi — *moc truchleje*".

Ks. Jan PRZYBYSZ



C. Rusconi Fot. Alinari

Na 27 grudnia

Św. Jan Apostoł i Ewangelista

Organizacją zbiórki kieruje Społeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech — „Help Poles in Germany," Polish Social Committee (War Charities Act, 1940) — 35, Cambridge Gardens, London, W.10.

Ofiary należy wpłacać na konto: „HELP POLES IN GERMANY," POLISH SOCIAL COMMITTEE W LLOYDS BANK, KNIGHTSBRIDGE BRANCH, 16, BROMPTON ROAD, LONDON, S. W. 1. ACCOUNT Nr. 1, względnie przesłać postal orderem na adres Komitetu.

Wyniki zbiórki i sposób rozdziału zebranych ofiar zostaną ogłoszone w prasie.

„BÓG SIĘ RODZI..."

Czyż Bóg może się rodzić? Czyż istota najwyższa, najdoskonalsza, najpierwsza, istniejąca sama z siebie — Bóg, może się rodzić, a więc zacząć istnieć, mieć początek, być ograniczony w czasie i możliwościach? Czyż powiedzenie „Bóg się rodzi..." nie jest sprzecznością?

Sprzecznością nie jest, lecz jednym z paradoksów katolicyzmu. A paradoks ten wyjaśnia najlepiej i najpełniej liturgia mszalna Bożego Narodzenia. W dzień bowiem Bożego Narodzenia każdy kapłan może odprawić trzy msze św. Liturgia tych mszy św. wyjaśnia nam, że „Bóg się rodzi..." i to trojako: odwiecznie, w czasie i przez Łaskę.

Liturgia pierwszej mszy św. przypomina nam odwieczne narodzenie się Boga. Oto Bóg-Syn, druga Osoba Trójcy Przenajświętszej, rodzi się z Boga-Ojca, odwiecznie, poza kategorią czasu. Jak mówimy w Credo: „Wierzę... w Syna Bożego jednorodzonego i z Ojca zrodzonego przed wszystkimi wiekami Boga z Boga, światłość z światłości, Boga prawdziwego z Boga prawdziwego. Zrodzonego nie stworzonego, współistotnego Ojcu, przez którego wszystko stworzone jest."

Liturgia drugiej mszy św. przypomina narodzenie się Boga w czasie, sam więc fakt historyczny, Wcielenie, przyjście na świat Zbawiciela, Jezusa Chrystusa, gdy to druga Osoba Trójcy Przenajświętszej „Słowo ciałem się stało". „Oto Bóg, Syn Boży, Słowo, odwieczne z Boga-Ojca zrodzone, przyjmuje naturę ludzką i jako Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus, w jednej Osobie łącząc obie natury, boską i ludzką, przychodzi na świat, rodząc się z Niewiasty, Najświętszej Maryi Panny, w Betleem, za panowania cesarza Augusta.

Wreszcie liturgia trzeciej mszy św. przypomina nam trzecie narodzenie się Boga, to rodzenie się Boga w sercu ludzkim, gdy to Jezus Chrystus, Bóg Wcielony, bądź pod postacią sakramentalną chleba i wina, jako Komunia św., bądź przez Łaskę swoją (Gratia Increata), a więc widzialnie lub niewidzialnie, sakramentalnie lub duchowo, ale zawsze realnie, zstępuje do serca ludzkiego.

W dniu Bożego Narodzenia katolik przypomina sobie dogmat odwiecznego narodzenia się Boga, obchodzi pamiątkę narodzenia się Boga w czasie i wreszcie uczestniczy w tajemnicy narodzenia się Boga w duszy człowieka. Dlatego też nie wystarczy święta Bożego Narodzenia obchodzić, lecz trzeba w nich uczestniczyć, przez przystąpienie do Komunii św. Wtedy dopiero święta te stanowią właściwe, głębokie przeżycie jednej z najwyższych tajemnic Wiary św. i życia Bożego.

Kto też w dzień Bożego Narodzenia, oczyściwszy swe serce przez spowiedź św., przystąpi do Komunii św. i w czyim sercu przez to narodzi się Bóg, ten zrozumie odczuje i przeżyje tę na pozór paradoksalną prawdę Wiary, że „Bóg się rodzi..." i takie powiedzenie dla tego człowieka nie będzie sprzecznością, ani czymś niepojętym.

KS. MICHAŁ PORADOWSKI

PAMIĘTAJ, ŻE JEDYNĄ NADZIEJĄ DZIECI POLSKICH W NIEMCZECH JEST SPOŁECZENSTWO POLSKIE W W. BRYTANII. NIE ZAWIEDŹMY POKŁADANYCH W NAS NADZIEI.

PROŚBA OD WYDAWNICTWA

W związku z zakończeniem roku budżetowego prosimy uprzejmie Szanownych Prenumeratorów i Kolporterów o łaskawe uregulowanie wszelkich należności za „ŻYCIE" i za pobrane inne wydawnictwa najpóźniej do dnia 30 grudnia 1947 r.

W SPRAWIE ZMIAN ADRESÓW

Uprzejmie prosimy Szanownych Prenumeratorów o natychmiastowe zgłaszanie zmian adresów. Przypominamy przy tym, że za zmianę adresu należy przesyłać sh. 1/-.

20.000 DZIECI POLSKICH W NIEMCZECH GŁODUJE I MARZNIE — PORATOWANIE ICH, TO ZADANIE NIE PRZEKRACZAJĄCE MOŻLIWOŚCI 200.000 EMIGRACJI POLSKIEJ W W. BRYTANII.

WYJAŚNIENIE

Wobec często powtarzających się pogłosek podajemy do wiadomości naszych Czytelników, że ŻYCIE nie jest organem J. E. Ks. Biskupa Józefa Gawliny.

ŻYCIE jest pismem kół katolickich na Emigracji. Pismo nasze jest tygodnikiem katolickim w sensie wymaganym przez władze duchowne i to określa wystarczająco jego stosunek do Kościoła i Hierarchii.

OFIARY NA ODBUDOWĘ KOŚCIOŁÓW WARSZAWY

180.	Spółdzielnia z o.o. „KARPATY," Fowlmere nr Royton, w wykonaniu uchwały Walnego Zgromadzenia o podziale nadwyżki bilansowej	£	5.15.00
181.	P. Jagielski St., Fowlmere nr Royton	£	1.00.00
182.	P. Leśniowski Józef, Fowlmere nr Royton	£	0.15.04
183.	P. Madej Ryszard, Fowlmere nr. Royton	£	0.12.04
185.	Zebrano w kaplicy obozowej Haydon Park Camp, nr. Sherborne (Ks. Kpl. A. Finc)	£	2.00.00
186.	P. Zawadzki Antoni, Relegation Team nr. Warminster	£	0.05.00
187.	Zebrane w II kl. A, ze szkoły w Cannon Hall Camp, nr. Barnsley, Yorks. (Ks. Kpl. J. Dryżałowski)	£	0.02.09
188.	Zebrano w kaplicy Woodlans Hostel Chorley, Lanc's (Ks. Prob. dr J. Cibor)	£	3.00.00
189.	P. A. Klink, Londyn	£	0.10.00
190.	Zebrano w kaplicy obozowej w West Chiltington (Ks. Kpl. T. Wojtas)......	£	1.16.06
191.	Zebrano (po raz drugi) w kaplicy obozowej w Burrow Head Camp, Newton (p. F. Grzesik)	£	1.03.00
192.	Ks. dziekan W. Słapa, Nairobi, Kenya, Afryka	£	1.00.00
193.	Osiedle Polskie KIDUGALA, Afryka	£	12.04.00
194.	Ks. F. Maciaszek, Osiedle Polskie Ifunda, Tanganyika, Afryka	£	3.06.00
195.	P. Ogrodnik, Afryka	£	0.10.00
196.	P. Lula Piotr, Afryka	£	0.05.00
197.	Ks. A. Wierzbiński, Afryka	£	0.15.00
198.	Złożone przez żołnierzy 1 Samodz. Brygady Spadochronowej, znajdujących się w 203 Basic Unit P.R.C., z okazji dorocznego święta Brygady — na odbudowę kościoła, gdzie został poświęcony, a następnie przywieziony do W. Brytanii sztandar 1 Samodz. Bryg. Spad. — PO RAZ DRUGI (Ks. Kpl. A. Bednorz)	£	73.08.07
199.	P. Szymanowski, Londyn	£	0.10.00
200.	Gimnazjum i Liceum Żeńskie im. Ignacego Paderewskiego w Stowall Park zebrane w czasie Mszy św. (Ks. Prefekt J. Przybysz)	£	5.09.06
201.	Mieszkańcy Hostelu Stowell Park (Ks. Kpl. J. Przybysz)	£	1.12.00
	Razem z poprzednimi	£	999.16.08

Prenumerata miesięczna: 2 sh. 10 d., kwartalna: 8 sh. Ceny ogłoszeń: Tekstowe: 1 cal przez 1 łam — £ 2 sh. 10. Poszukiwanie osób i pracy: do 20 słów — 7 sh. 6 d. Za zamieszczanie dwukrotnie — 11 sh., za trzykrotnie — 13 sh. 6 d. Za każdych następnych 5 słów — 2 sh. zamieszczone dwukrotnie — 3 sh., trzykrotnie — 3 sh. 6 d. Różne: jedno słowo 9 d. Rękopisów nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian w artykułach — bez naruszenia myśli autora. Adres Redakcji i Administracji: 21, Earls Court Square, LONDON, S.W.5., Tel.: FLA 1509. Redakcja przyjmuje tylko w poniedziałki i piątki — od godziny 11 do 12.
Published by Catholic Publishing Committee. Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd., 15, Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey